



MOKOPOLITAN

OPOWIADANIA NA
DŁUGIE ZIMOWE
WIECZORY



PAWEŁ MAJKA

JACEK WROBEL

ADAM JARMUŁA

MICHAŁ RYBIŃSKI

MARCIN ALQUA KLAK

ANNA JAKUBOWSKA

MAGDALENA KUCENTY

DOMINIK SOKOŁOWSKI

MICHAŁ MARZE CREMISZEWSKI



Na długie zimowe wieczory

Nie wiem jak Wy, ale ja nie jestem fanką zimy. Nie lubię, kiedy za oknem jest szaro, chłodno, a nad Krakowem unosi się żółtobury smog. Istnieje jednak również dobry aspekt zimowych wieczorów – ten moment, kiedy po całym dniu pracy można usiąść wygodnie z kubkiem parującej herbaty i czymś przyjemnym do czytania.

To pierwszy z dwóch powodów, dla których postanowiliśmy wydać numer specjalny *Smokopolitana*. Drugi jest taki, że na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy dostaliśmy od Was naprawdę dużo opowiadań. Było ich tyle, że gdybyśmy chcieli wypuścić standardowy numer z trzema opowiadaniem, musielibyśmy już w październiku zamknąć nabór tekstów prozatorskich do kilku następujących numerów. Perspektywa raczej straszna niż zabawna. Podjęliśmy więc decyzję, aby chwilowo ukrócić nasze zapędy publicystyczno-fandomowe i wydać coś innego. Tak oto powstał *Smokopolitan* numer 3.

Wszystkich, którzy z niecierpliwością oczekiwali numeru „optymistycznego” pragnę uspokoić – już w lutym możecie się spodziewać kolejnego wydania, z zapowiedzianymi wcześniej artykułami o jaśniejszej stronie fantastyki, dalszym ciągiem rozważań nad nagrodą im. Janusza Zajdla i kolejną porcją solidnej prozy.

Tymczasem oddajemy w Wasze ręce wybór dziewięciu różnorodnych opowiadań – zgodnie z zasadą „dla każdego coś miłego”. Oby dostarczyły Wam radości w te długie zimowe wieczory.

REDAKTOR NACZELNY: **Elin Kamińska**
elin.kaminska@historiavita.pl
WYDAWCA: **Fundacja „Historia Vita”**
ADRES REDAKCJI: os. Akademickie 6/22,
31-866 Kraków, redakcja@historiavita.pl,
www.smokopolitan.com.pl
ISSN 2449-6251
REDAKCJA TEKSTÓW: **Paweł Majka,**
Karolina Łukasik
SKŁAD I ŁAMANIE TEKSTU: **Karol Batko**
WYDANIE ELEKTRONICZNE: **Anna Jakubowska**

KOREKTA: **Katarzyna „Ophelia” Koćma,**
Michał Szymański, Anna Jakubowska,
Monika Doerre
RYSUNEK NA OKŁADCE: **Alicja Marczyk**
PROJEKT LOGOTYPU: **Adriana Depta**
PROJEKT OKŁADKI: **Krzysztof Bernacki**
WSPÓŁPRACOWNICY: Andrzej Pilipiuk,
Paweł Majka, Simon Zack, Michał Cholewa,
Błażej Kardyś, Marcin Klak, Paweł Ścibiorek,
Krzysztof „Jaxa” Rudek, Maciej Piłala,
Alicja Marczyk, Anna Tomiczek, Maciej Maciejewski

MOKOPOLITAN

Nr 3

OPOWIADANIA NA DŁUGIE ZIMOWE WIECZORY



Magdalena Kucenty

2 Koziorożec i Smok

Dominik Sokołowski

20 Dni, które wstrząsnęły światem

Jacek Wróbel

32 Chichotek



Michał Rybiński

43 Na psa urok!

Anna Jakubowska

51 Fairy Drabble Blues

Marcin Kłak

52 Gadźciarz



Adam Jarmuła

53 Glejt

Michał Marzec-Remiszewski

56 Złota spirala

Paweł Majka

70 Jak to się robi w Zaskrzypiu



Koziorożec i Smok

MAGDALENA KUCENTY

Capricorn śledził ruchy formującej się na nowo skalnej ściany. Kamienne bloki ocierały się o siebie, przekręcały na boki, po czym z cichym zgrzytem wskakiwały na wyznaczone miejsca. Kępy mchu wykwiwały ze szczelin i skrywały pod zielonym kożuchem kolejne fragmenty urwiska, niosąc charakterystyczny zapach leśnego runa. Wartki strumień spływał wyżłobionym lejem i rozgałęział się na kilka srebrzystych pasm, które dalej niknęły między skałami.

Wilgotny chłód przenikał skórę, zjonizowane powietrze wypełniało nozdrza, ale zmysły nie dawały się oszukać. Alarmowały, że urwisko nie jest dziełem natury.

W rzeczy samej przed Caprim ukształtowało się drobiazgowo zaprojektowane pole treningowe. Chłopak nabrał talku z przytroczonego do pasa woreczka i wtarł go w dłoń, potem wy badał stopą ziemię. Ta w kilku miejscach zapadła się lekko. Capri nie chciał nawet sprawdzać, co za pułapka kryje się pod spodem, więc spróbował ponownie parę kroków dalej. Tutaj podłoże sprawiało wrażenie stabilnego, zatem rozpoczął wspinaczkę.

Wcisnął palce w plujące wodą zagłębienia, które niczym broczące rany znaczyły cały sześćdziesięciometrowy klif. Stawiał stopy na zachęcająco wyglądających ustępach skalnych, by nieraz przekonać się, że nie dawały one odpowiedniego oparcia. Wreszcie, gdzieś w połowie wysokości ściany, w ostro nachylnym miejscu, poślizgnął się na wilgotnym kamieniu. A próbując odzyskać równowagę, odkrył, że pod najbliższym mchem chował się pęcherz powietrza. I nic więcej.

Pomyłkę opłacił dosyć niefortunnym upadkiem, podczas lotu bowiem zderzył się głową z wyjątkowo okazałym głazem, na którym jeszcze chwilę temu odpoczywał. Niestety, moment słabości skończył się dla chłopaka złamanym karkiem.

Wpatrując się pustymi oczami w hologramowe niebo, ze strużkami czerwieni ściekającymi po twarzy, ułożył zranione usta w jedno tylko słowo:

– Cofnij.

Wodospad zmienił swój bieg, srebrne nitki łączyły się w grubsze pasma, aż tuż przy szczycie trafiły do wspólnego koryta. W tym czasie kręgi szyjne Capriego wskakiwały na miejsca, krwiaki na czole szybko malały. Jak na puszczonym od tyłu filmie chłopak wystrzelił w powietrze, przykleił się do skał i zszedł z urwiska.

Potem uniósł głowę i rozpoczął wspinaczkę na nowo.

Pisces z rosnącym podnieceniem obserwowała brata. Lubiła, gdy ćwiczył, bo zawsze wtedy zdejmował koszulkę, do woli mogła więc podziwiać jego atletyczną sylwetkę, twarde sploty mięśni i silne ramiona. Capricorn był szczupły, miał chłopięce, pozbawione zarostu rysy twarzy oraz sięgające za uszy blond włosy. Nikt nie nazwałby go zniewieściałym chuderlakiem. Nie, Capri był piękny.

Pisces rzuciłaby mu się w ramiona, gdyby ujrzała w szarych oczach chociaż cień przy-

zwolenia. Ale one zawsze pozostawały zasnu-
te mgłą i niedostępne, skrywając szeregi
błyskawicznych kalkulacji zachodzących
w umyśle chłopaka.

Capri w ogóle jej nie dostrzegał, kiedy tak
stał wpatrzony w te głupie kamienie i co ła-
mek sekundy mruczał pod nosem:

– Cofnij. Cofnij. Cofnij...

Nie zwrócił na Pisces uwagi, nawet gdy
skończył już mamrotać. Bez wahania ruszył
ku szczytowi ściany, palcami odnajdując nie-
widoczne dla oka szczeliny i bezbłędnie sta-
wiając stopy. Jak zawsze dotarł na sam szczyt
szybciej, niż się tego spodziewała. A gdy
tylko otrzepał ręce, wydał rozkaz rekonfigu-
racji i urwisko pod nim ożyło.

Pisces przyłożyła zwinęte dłonie do ust
i przekrzykując szum pracujących mechani-
zmów, spytała:

– Przeleczysz mnie w końcu czy nie, Capri?

Chłopak spojrział na nią i z irytacją
zauważyła, że zamiast odpowiedzieć, zaczął
kalkulować, na ile jest to możliwe.

1. UMYŚŁ KOZIOROŻCA

Capri popijał ciastka niesłodzoną herbatą
i czekał, dla zabicia czasu ćwicząc specyficzne
możliwości swojego umysłu na klientach
kawiarni.

Skubiąca szarlotkę kobieta z radością
oddawała się jakiemuś czystemu. Wszystko
niebawem wyjdzie na jaw, przez co mąż ją
porzuci, a kochanek przerwie międzykastowy
romans. Nuda. Dalej, jedząc lody, siedziała
para zakochanych deformantów. Mężczyzna
oświadczy się jeszcze dziś i usłyszy magiczne
„tak”, a potem będą mieli mnóstwo brzydkich
dzieci. Nic ciekawego. Z kolei mizdrząca się
w kącie dwójka zwyklaków długo nie wytrzy-
ma; zaczną się kłócić, do końca roku zerwą.
Też nuda. Natomiast bezdomny, przysypiają-
cy przy oknie nad zimną kawą, w ciągu pół-
tora miesiąca umrze.

Cofnij. Dodaj pieniądze.

Bezdomny, przysypiający nad zimną kawą,
zostanie okradziony i pobity. W ciągu tygo-
dnia umrze.

Cofnij. Odejmij pieniądze, dodaj szpital.

Bezdomny, przysypiający nad zimną kawą,
zostanie zdiagnozowany – stwardnienie roz-
siane. W ciągu czterech miesięcy umrze.

Capricorn podstawał kolejne zmienne do
symulacji, ale wynik zawsze był ten sam –
nieunikniona śmierć w krótkim czasie.

Odechciało mu się dalszych ćwiczeń. Zapa-
trzył się w powierzchnię niedopitej herbaty
i zaczął obracać jedno z ciastek w palcach.

Trzysta dwadzieścia sześć obrotów później
do kawiarni wszedł Logan. Spryskany opale-
nizną w płynie, z siatką sztucznych zmarsz-
czek na twarzy i przebłyskami siwizny we
włosach, wyglądał starzej niż zazwyczaj. Na
jakieś pięćdziesiąt lat zamiast trzydziestu.
Do tego ubrał się inaczej: w skórzaną kurtkę,
rozpiętą pod szyją koszulę oraz jeansy. Capri
obawiał się jednak, że wystarczy zerknąć na
wypiełgnowane ręce i równe zęby mężczy-
zny, by przejrzeć fortel.

– Cześć, młody – przywitał się czysty. –
Dokańczaj te swoje ciasteczka i idziemy. –
Nie przysiadł się do niego, tylko stanął obok
z wyczuwającą miną. – Wyjaśnię ci wszystko
po drodze.

Chłopak nie miał już ochoty jeść, więc
bez zwłoki wstał od stołu. Ale dopiero na
zewnątrz, w nikłym świetle wieczora, Logan
podjął się tłumaczenia.

– Idziemy do Jamy. Słyszałeś o tym miejscu?

Capri potaknął. Skądinąd posiadał infor-
macje, że w Jamie odbywały się nielegalne
walki mutantów, ponoć bardzo popularne.

– W takim razie domyślasz się, dlaczego
cię potrzebuję. – Logan parsknął śmiechem.
– Zresztą, co ja wygaduję. Pewnie już dawno
wywróżyłeś sobie wszystko w tym swoim
pojebanym rozumku.

Chłopak zignorował drwiący ton towa-
rzysza i nieuprzejme słowa. Rozumiał, po co
tamten go potrzebował. Wszakże szli przez

Kocioł, jedyną dzielnicę pod kopułą Matki, w której pozwalano mieszkać deformantom i sypiać bezdomnym. Przystępczość kwitła tutaj w najlepsze, uzbrojony rabuś czy zdesperowany biedak w każdej chwili mógł zaatakować świecącego białymi zębami Logana, a on dbał o swoją skórę jak o nic innego na świecie. Skoro przyszedł do Kotła w przebraniu, nie mógł sobie pozwolić na oficjalną obstawę. I potrzebował takiej mniej oficjalnej.

– Mam cię ochraniać – stwierdził Capri. Odezwał się pierwszy raz od rana i jak zawsze w podobnej sytuacji czuł dziwne odrętwienie wokół ust.

– Ta jest. – Jego towarzysz klasnął w dłonie. – Mądry chłopiec!

Capricorn nie lubił przytyków Logana i samego Logana również. Ale dopóki ojciec kazał mu współpracować z czystym, chłopak po prostu robił swoje, zbywając milczeniem wszelkie głupie odzywki.

Przez jakiś czas szli we względnej ciszy: coś szumiało w tle, gdzieś rozbrzmiały przytłumione głosy, a nawet jakiś urwany krzyk, jednak nikt nie zaczepiał dwójki towarzyszy. Aż w pewnym momencie, jak spod ziemi, wyskoczył brodaty mężczyzna w podniszczonej wiatrówce i wytartych spodniach.

– Panie kierowniku – utkwiał spojrzenie w Logana – zlitowałby się pan nad biednym, starym dziadem? Rzucił parę kredytów?

Nagle w źrenicach czystego pojawiły się złośliwe iskierki.

– Ależ oczywiście, szanowny dziadzie – odparł, wyciągając portfel. – Ile? Sto? Dwieście?

Mimo gęstego zarostu nietrudno było dostrzec wyraz zdumienia powoli wpełzający na oblicze żebraka.

– Panie dobrodzieju – załkał. – Co łaska... Co łaska...

Logan wyjął błyszczący trzycyfrową kwotą kartonik, a brodacz, jak na komendę, odsłonił przedramię. Jednak zanim czysty przy-

łożył plastik do skóry tamtego, zawahał się ostentacyjnie.

– Ach, jedna sprawa. – Cofnął rękę. – Jako że wyznaję ideę pieniądza zarobionego, miałbym do szanownego dziada prośbę.

– Jaką, kierowniku?

– A bucik mi się rozwiązał – powiedział, machając luźnym sznurowadłem. Capri moment wcześniej widział, że czysty specjalnie je przydeptał.

Brodacz omiół ich oszołomionym spojrzeniem, jakby nie zrozumiał aluzji, ale po chwili wahania padł na kolana i zajął się butem Logana. Nie zdążył jednak wstać, gdy tamten powiedział:

– I buziaka w czubek bym poprosił. Walnąłem się w duży palec, a na takie rzeczy najlepiej działają mamine całusy. – Nieszczery uśmiech wykrzywił mu wargi. – Ale od biedy mogą być całusy starego dziada.

W żebraku resztki godności wyraźnie walczyły z nadzieją na zarobek. Wreszcie zacisnęła usta i pochylił niżej głowę, jednak w ostatniej chwili Logan odsunął się na bok, wybuchając głośnym śmiechem.

– Tyle wystarczy – rzekł zmienionym głosem. – Wyciągaj tę swoją brudną łapę.

Brodacz posłusznie odsłonił rękę.

– Oszalałeś, staruchu? – prychnął czysty. – Bierz wszystko, przecież brzydziłbym się używać karty po tobie. – Rzucił plastikiem w czoło kłęczącego i ruszył przed siebie. – Chodźmy, młody. Wystarczająco dużo czasu zmarnowaliśmy na to ścierwo.

Capri nie ruszył się z miejsca. Popatrzył na podchodzące łzami oczy żebraka i bez słowa pomógł mu wstać. Wściekle spojrzenie Logana ześlizgnęło mu się po plecach, gdy podniósł z ziemi kartę z nabitymi kredytami i wręczył ją biedakowi.

– Przepraszam za kolegę, on jest bardzo chory. – Zrobił krótką pauzę, po czym dodał konspiracyjnie: – Ciężki przypadek skurwysynstwa. Niestety, lekarstwa jeszcze nie wynaleziono.

Brodacz otarł policzki i parsknął śmiechem.

– Dobrze, synu. Dobrze. – Spuścił wzrok, pocierając kciukiem plastikowy kartonik. – Ale czego innego spodziewać się po czystym?

Capri pokiwał głową. Tak jak sądził, przykrywka Logana była do niczego.

– Jest pan bardzo spostrzegawczy. – Miał nadzieję, że mężczyzna nie uzna jego słów za drwinę. – Powinien pan pracować w Straży Wewnętrznej.

– Ach, synu. Gdyby tylko moja kochana mi na to pozwalała.

– Żona? – spytał bez namysłu Capri, któremu wbrew pozorom nie brakowało młodzieńczej naiwności.

– Wódka, synu – westchnął brodac. – Wódka.

„Smocza Jama” – głosił błyszczący neonami napis nad wejściem. Weszli do środka; Logan dumnie unosząc głowę, Capri niczym cień przesłizgując się za nim.

W lokalu było pełno normali i deformantów oraz – oczywiście poza Loganem – pozornie ani jednego czystego. Popijali różnego rodzaju alkohole i bez najmniejszego skrępowania wciągali trip. Narkotyk białym puchem osiadał im na nosach, ekstazyjna mgiełka zasnuwała wzrok. Wyglądało na to, że wszyscy bawili się wybornie. Centrum zaś uciechy stanowiła okrągła i niespodziewanie wielka arena, oddzielona okratowaniem od tłumu. Logan przepychał się między ludźmi, tak by znaleźć się możliwie najbliżej niej. Capri, rzecz jasna, również.

A tam, za metalową siatką, uwijała się starsza kobiecina, rozmazując mopem przysychającą na podłodze krew. Papieros w jej ustach tlił się powoli, co jakiś czas brudząc popiołem niedoprany fartuch. Babka wyglądałaby na normalkę, gdyby nie ogon, którym pomagała sobie przy sprzątanii. Zakończono

ny włochatym pędzelkiem, zagarniał wybite zęby niby magiczna miotełka.

Logan wypytywał ludzi o następną walkę, a Capri przeprowadzał symulacje. Wychodziło mu, że w Jamie przysłowiowa kosa pod żebro stanowiła zagrożenie na poziomie trzyprocentowym. Przedawkowanie tripu – pięć procent. Zwykle obicie gęby – osiem. Zatrucie alkoholowe – aż siedemdziesiąt dziewięć. Czyli ponad trzy czwarte osób wychodziło stąd zalane w sztok.

Sprzątaczką opuściła arenę, zostawiając na podłodze poczerńiałe smugi i trochę popiołu. Capri przemnożył obliczenia przez panujące w lokalu warunki higieniczne i otrzymał obiecujący wynik. Nie miał szans opuścić Jamy bez jakiegokolwiek ubytku na zdrowiu.

Nagle rozbrzmiał gong i rozpoczęto zbieranie zakładów. Kuso ubrane panienki z terminalami zawieszonymi u szyi przechadzały się między gośćmi i ściągaly z ich przedramion najróżniejsze sumy – od paru jednostek po kilkaset. Niektórzy, tak jak Logan, używali kart.

– Postawiłem tysiaka na Achillesa, ponoć świetnie pracuje nogami – oznajmił czysty, najwyraźniej nie zauważając ukrytej w tym stwierdzeniu ironii.

Mocny dźwięk gongu znowu wypełnił przesycone smrodem papierosów, zadymione powietrze. Ludzie zaczęli chwycić dłońmi kraty, niektórzy nawet przytykali do prętów wykrzywione w euforii twarze.

Na środek wyszli deformanci. Jeden wysoki i chudy jak tyczka, drugi bardzo niski, ale zdecydowanie lepiej zbudowany. Jego rogi znajdowały się niemal idealnie na wysokości krocza przeciwnika. Tu nie były potrzebne żadne obliczenia.

– Który to Achilles? – rzucił Capri.

– Ten wyższy!

– To właśnie przegrałeś tysiąc kredytów, Logan.

Czysty w odpowiedzi musiał przekrzykiwać podniecone wiwaty tłumu.

– Co mówiłeś?!

Chłopak zrobił palcami odwieczny gest pieniądza, a potem pokazał kciuk do dołu. To sprawiło, że Logan momentalnie poczerwieniał na twarzy.

– Kurwa! Nie mogłeś mnie uprzedzić?!

Capricorn pokręcił głową, ale nie próbował wytłumaczyć czystemu, że jego zdolności nie działają w ten sposób. Przecież wcześniej, bez potrzebnych danych, nie mógł przeprowadzić obliczeń.

Walka była szybka i niemal bolesna do oglądania. Karłowaty mutant użył swoich rogów dokładnie tak, jak przewidział to Capri, a słabym punktem Achillesa okazała się nie stopa, tylko genitalia. Biedne, biedne genitalia. Po finalnym ciosie większość męskiej widowni syknęła współczująco, łapiąc się za to i owo, a przegranego szybko ściągnięto ze sceny. Wygrany natomiast warczał, bił się w pierś i szarpał kratami. Małpi taniec trwał parę dobrych minut, potem na arenę wróciła sprzątaczką. Omiotła wzrokiem okrągły plac i osądziła, że krwi poleciało zdecydowanie za mało, by się wysilać. Machnęła mopem dwa razy, nawet nie patrząc na efekt, i zniknęła.

– To było żałośnie krótkie – fuknął rozczłony Logan.

Capri tylko wzruszył ramionami.

– Dobra, gadaj – rozkazał tamten. – Kto wygra następny?

– Nie wiem – odparł z irytacją chłopak.

– Jak to nie wiesz, młody? – Logan najwyraźniej całkiem serio podchodził do teorii z wróżeniem. – Gadaj!

– Ech, daj mi najpierw podpytać ludzi...

Capri zagadywał kolejne osoby, starając się wybierać z tłumu te, które nie zbęda go byle wymówką albo wręcz przegonią. Dowiedział się, ile mógł, zanim zakłady dobiegły końca.

– Stawiaj na Mako.

– Tego od krachaga?

– Krav... – zaczął poprawiać Logana, ale ugryzł się w język. – Tak, tego.

Tym razem czysty obstawiał ostrożnie, na

początek dorzucając do puli tylko dwieście kredytów.

Gong rozbrzmiał ponownie. Na środek areny wskoczył szczupły mężczyzna w czarnej masce, z włosami splecionymi w warkocz – Mako właśnie – oraz zwalisty olbrzym od góry do dołu pokryty obszernymi tatuażami. Na ten widok Logan siarczyście zaklął i zarzucił Capriemu umyślne wprowadzenie go w błąd, jednak chłopak nie zareagował. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na Mako, by wiedzieć, że nie ma mowy o pomyłce.

Wojownik rozpoczął swój taniec, podskakując na palcach, okrążał mięśniaka wyprawdzającego silne, jednak nieco chaotyczne ciosy. Bawił się z olbrzymem, aż wreszcie ten nie wytrzymał i zaszarżował do przodu, rycząc wściekle.

Mako złapał wyciągnięte ku sobie łapsko i wykorzystał udo przeciwnika jak nie przymierzając szczebel w drabinie, by wspiąć się mu na kark. Potem oplótł go nogami i nagle kula zbitych mięśni obróciła się w powietrzu, a gdy wylądowała na podłodze, przekształciła się w powalonego mężczyznę z boleśnie wykręconą za plecami ręką.

Oko nie było w stanie uchwycić, kiedy i jak Mako założył olbrzymowi dźwignię, jednak ślepiec potrafiłby powiedzieć, kto wygrał walkę, ponieważ osiłek uderzał pięścią o ziemię, dając głośno znać, że się poddaje.

Tłum skandował entuzjastycznie:

– Mako! Mako! Mako!

Logan uśmiechał się z triumfem, jakby sam doszedł do tego, na kogo warto było postawić pieniądze. Zaczął nawet podrywać jedną ze skąpo odzianych panienek, głośno chwalać się znajomością „krachaga”.

Co za idiota, westchnął w duchu Capri. Potem zastanowił się, ile jeszcze czasu przyjdzie mu z nim spędzić. Wynik – zdecydowanie za dużo.

Zdążył nawiązać wiele ciekawych znajomości, a zważywszy na to, że był dosyć mało-mówny i uprzejmie dziękował za wszelki alkohol, tym bardziej za trip, stanowiło to nie lada osiągnięcie. Powoli zaczynał też rozumieć, po co Logan przyszedł na podziemne walki. Główną atrakcją wieczoru miało być starcie zwycięzców, którzy zgłoszą ku temu chęć, i niejakiemu Draaka. Ludzie nazywali go Smokiem i wielu dodawało żartem, że lokal jest właśnie jego jamą.

To tłumaczyło imponującą wielkość areny, musiała się tam zmieścić pokaźna gromada zawodników. Ale przed chłopakiem objawiało się zgoła ciekawsze zagadnienie – między ludźmi krążyła plotka, jakoby Draak był nieśmiertelny. Ponoć przeżył już czterysta lat i każda rana goiła się na nim błyskawicznie. A Capri znał kogoś, kto miał bzika na punkcie osiągnięcia nieśmiertelności. Znał wielu takich ktosiów.

Praktycznie każdy czysty uważał się przynajmniej za półboga i żaden nie mógł przejść do porządku dziennego nad faktem, że kiedyś umrze, podczas gdy mutanci nieraz zastanawiali się, czy w ogóle dotrwią jutra. Z kolei normalami nikt się nie przejmował, nawet oni sami. Ich los był po prostu zbyt przeciętny, by wzbudzić jakiegokolwiek zainteresowanie. Zostawali jeszcze mechaniczni, ale to zupełnie inna bajka.

Capri swoimi przemyśleniami najwyraźniej wywołał wilka z lasu. W następnej walce miał wziąć udział rudowłosy defor-manta z abiotycznym ramieniem. Nie dosyć, że mutant, to jeszcze rudy i zrobotyzowany. Niewyobrażalny pech, ale też ogromny fart – zależy, jak na to spojrzeć, bo z jednej strony tamten urodził się w najniższej warstwie społecznej i na dokładkę trafił do najrzadszej, w niektórych kręgach wysoce pomiatanej grupy. Z drugiej jednak jakimś cudem było go stać na zastąpienie utraconej kończyny zmechanizowaną repliką, mimo nieciekawej sytuacji życiowej.

Capri bez zastanowienia kazał Logano-wi postawić na niego wyższą kwotę. Takiego człowieka musiała cechować niesamowita wola przetrwania.

To był ostatni pojedynek przed wielkim finałem. Przeciwnikiem mechanicznego okazał się szczurowato wyglądający wymoczek z mocno podkrążonymi oczami. Nazywał się Skirt.

Szybko wyszło na jaw, że główną bronią Skirta jest żrąca plwocina, ściekająca mu z groteskowo długich kłów, i niekończące się przytyki. Chuderlak dosłownie i w przenośni pluł jadem w przeciwnika, za wszelką cenę unikając bliskiego starcia. Po ciągnącej, wydawałoby się, w nieskończoność zabawie w kotka i myszkę, szyja gryzonia wylądowała wreszcie w objęciach stalowej pułapki. Abiotyczne ramię chrobotało metalicznie, gdy uśmiechnięty szelmowsko rudzielec zastanawiał się głośno, czy nie zacisnąć mocniej palców. Od razu uznano jego wygraną. Inaczej istniało zagrożenie, że Skirt pobrudzi arenę ze strachu. Natomiast wątpliwe było, że sprzątaczką wyczyści to dokładnie.

Wreszcie przyszedł czas na *grand finale*. Głosy na widowni zawyły potępieńczo, przekrzykując się w rokowaniach i stawianych kwotach. Najwyraźniej w przypadku Smoka zakłady wyglądały inaczej – zgadywano, kto ile wytrzyma. Bo kto wygra, było oczywiste.

2. WEJŚCIE SMOKA

Draak czekał, aż cielaki zostaną wprowadzone do zagrody, a potem wyszedł do nich, szczerząc radośnie kły. Potężne, pokryte łuską ramiona rozłożył szeroko i zaryczał razem z tłumem. To była jego widownia: trzy piętra żadnych jatki ślepi, trzy kręgi wykrzywionych dziko gęb. A cielaki? Stały i czekały grzecznie na jego pierwszy ruch, wszak tutaj liczył się czas.

Dzisiaj obsada była niewielka: jakiś typowy osiłek, rogaty karzeł, ninja z warkoczem,

kobieta o kocich rysach, wyginające się dziwnie nie-wiadomo-co i ryży półrobot z bliznami na piersi. Trupa cyrkowa jak się patrzy.

Draak wykręcił złożone razem łapy, aż kosteczki chrupnęły, potem podobnie postąpił z karkiem. Jak już skończył to ostentacyjne rozciąganie się, utkwił spojrzenie w mechanicznym i ruszył powoli w jego stronę, ale cyborg nie uciekał. Za to reszta trzęsidup umknęła ostrożnie, zostawiając pierwszą ofiarę na pożarcie bestii.

Zawsze to samo. Gdyby zajął się rudzielcem, reszta rzuciłaby mu się na plecy, a przecież facet wykazał się nie lada jajami. Nie. Jego zostawi sobie na deser.

Błyskawicznie dopadł do człowieka-gumy o nieokreślonej płci i walnął na odlew. Okazało się, że mimo ogromnej giętkości nie-wiadomo-co zamiast odbić się od krat niby kauczukowa piłeczka, tylko padło na ziemię zemdłone. To było rozczarowujące.

W tym czasie ktoś wspiął mu się na plecy i otoczył szyję nogami. Draak rechotał w najlepsze, gdy ninja próbował skrócić mu kark.

– To łaskocze!

Sięgnął do góry i wbił pazury w łydkę przeciwnika, a tamten jęknął z bólu, szarpiąc się nerwowo. Ucieczkę okupił ciężką raną. Krwawiąc obficie i dysząc ciężko, przeturlał się po ziemi. Później chwycił się za rozoraną nogę i już nie podnosił.

Draak nie zdążył wykończyć Warkoczka, ponieważ kocica próbowała wydrapać mu oczy. Złapał ją więc za luźną skórę na karku i potrząsnął energicznie.

– Miau czy nie miau, oto jest pytanie! – wrzasnęła, ciskając kobietę w kąt, jakby nic nie ważyła.

Tymczasem rogaty karzeł z osiłkiem stworzyli lichy sojusz. Jeden zachodził Draaka z lewej, drugi z prawej strony. Kurdupel z zapalem przyglądał się jego kroczu, co niekoniecznie przypadło do gustu Smokowi. Ba, można by powiedzieć, że poczuł się niezręcznie, wręcz wstydliwie, niczym panna na

wydaniu, której potencjalny małżonek bezczelnie waży cycki! Oho, tak nie będzie.

Chwycił jeden z tych rogów i zaczął kręcić karłem przed sobą. Kręcił i kręcił aż malec obrzygał mu przedramię. Roześlony Draak odrzucił kurdupla na bok i złapał ogłupiałego mięśniaka za głowę, by wytrzeć nią wymiociny. Tamten miał brodę, która nadawała się do zadania idealnie, ściągając brud jak druciana gąbka.

O dziwo mechaniczny, zamiast szykować się do ataku, pomagał temu z warkoczem. Z urwanej nogawki od spodni zrobił prowizoryczny opatrunek i właśnie wiązał go na łydce rannego. Smoka tak to zaszokowało, że aż przystanął, gapiąc się na obu jak skończony dureń.

– Przyszedłeś tu, żeby walczyć czy żeby niańczyć innych?

– Spokojnie, mam wytrzymać aż osiem minut. – Półrobot zerknął na wyimaginowany zegarek i stwierdził: – Zmitrężyłeś przynajmniej pięć, ale cóż... jeszcze trochę czasu mi zostało. Cierpliwości.

Draak roześmiał się, prezentując imponujący garnitur uzębienia.

– Lubię cię. – Nachylił się, spinając potężne uda do skoku. – Ale nie dam ci tych ośmiu minut.

Wystrzelili w powietrze i wzburzając tumany kurzu, wylądował w miejscu, w którym chwilę wcześniej znajdowali się Warkoczek oraz mechaniczny. Ten pierwszy ledwie zdołał się odczołgać w bezpieczne ukrycie, a sądząc po bladeści skóry i niepewnej minie, niebawem miał zemdleć. Cyborg z kolei wciąż grał na zwłokę. Okrężał Draaka, tak by zawsze pozostawać za jego plecami, zapomniał jednak o ogniu, który raptem podciął mu nogi.

Smok dał upust skrywanej głęboko litości i zamiast bezpardonowo rozsiaść się na leżącym mężczyźnie, wcisnął go sobie pod pachę. Abiotyczne ramię stawiało zaciekły opór, ale coś w środku jęczało i chrobotowało żałośnie,

wróżąc rychłą śmierć przeciążonym mechanizmom.

– Mam propozycję – wymruczał ryżemu do ucha Draak. – Bo widzisz, ludzie lubią, jak się rzeczy rozpadają. Urwę ci twoją zabawkę, ale w zamian zafunduję nową. A z tą będą igrał tak długo, że przegapię, kiedy minie magiczne osiem minut, he?

Rudzielec wydał z siebie zduszone: „Chyba nie mam wyboru”. Najwyraźniej zrozumiał, jak szczerą ofertę właśnie mu złożono, po minie jednak trudno było ocenić. Mężczyzna zrobił się strasznie czerwony na twarzy i zaciskał powieki z wysiłku.

– No, to mamy umowę – potwierdził Draak.

Potem złapał jednocześnie za stalowy łokieć oraz przeciwległe ramię rudzielca, raptem przytulił go do siebie jak ukochane dziecko i zaczął ciągnąć. Tłum natychmiast zawył z ucieshy, z kolei mechaniczny szarpnął się panicznie.

– Zdrowej ręki mi nie urwij!

– Masz słowo Smoka!

Sploty syntetycznych mięśni rwały się niczym jedwab, włókno po włóknie, żyła za żyłą, a metalowe łączenia pękały jak zapalki. Nagle zapiszczał przeciągły alarm, ale równie szybko zdechł, gdy abiotyczna kończyna zawisła w pazurach Draaka. Smok ziewnięciem dał do zrozumienia, że jest już znudzony cyborgiem i specjalnie nie zauważył, że kończący cios był za słaby, by ogłuszyć tamtego.

W radosnym ferworze zaczął przechadzać się po arenie, machając w górze urwaną ręką. To było trofeum z dzisiejszej walki, nagroda dla spragnionej krwi hordy. A jak już uznał, że osiem minut na pewno minęło, odwrócił się i z zaskoczeniem wykrzywiającym mu wargi spojrzał na wciąż stojącego na nogach rudzielca. Tamtemu oczy rozszerzyły się w całkiem prawdziwej trwodze, gdy Smok ruszył do szarży. Mężczyzna machał pozostawiając mu ręką i próbował przekrzyczeć wszech-

obecny jazgot, ale Draak udawał, że nie rozumie, o co chodzi tamtemu. Przedstawienie musiało trwać, a kapitulacja którejś ze stron stanowiła marny finał.

Kiedy wreszcie ostatni ze śmiałków padł na ziemię, wiwaty osiągnęły punkt kulminacyjny. Draak żył dla takich chwil. Unosząc wysoko zaciśnięte pięści, skandował razem z tłumem własne imię. Może to dosyć pompatyczne, ale do diaska, był Smokiem! Należało mu się nieco podziwu.

Forum grało dla niego muzykę uwielbienia, a on chłonał każdą nutę z ukontentowaniem. I nagle tę piękną melodię zakłóciło natrętne buczenie komara. Smok odszukał wzrokiem owada i warknął:

– Cisza! Cisza, mówię!

Część osób posłusznie umilkła, reszta pod wpływem kuksańców i pięści sugestywnie wciśniętych między żebra po chwili również zamknęła gęby.

– Ty! – huknął Draak, zakrzywionym paluchem wskazując szpakowatego mężczyznę na środkowym piętrze widowni. – Powtórz to.

Nieznajomy wyprężył się chełpliwie.

– Powiedziałem, że jeśli staniesz do walki z moim podopiecznym – otoczył ramieniem stojącego obok chłopaka, a ten zrobił minę, jakby zebrało mu się na wymioty – będziesz miał szansę wzbogacić się o okrągłe pół miliona.

Draak wydał z siebie gardłowy pomruk.

– A ile ten twój młody czempion ma niby z mną wytrzymać?

Szpakowaty oburzył się demonstracyjnie.

– Wytrzymać? – Pokręcił głową, niczym nauczyciel karzący tępawego ucznia za złą odpowiedź, i cmoknął głośno. – On ma z tobą wygrać!

3. SERCE KOZIOROŻCA

– Nie zrobię tego, Logan.

Czysty wygłosił już swoją niedorzeczną propozycję i ustalił ze Smokiem termin

walki. Capri dotąd milczał, jednak gdy tylko nadarzyła się okazja, wyciągnął Logana na zewnątrz i rzucił nim o ścianę Jamy. Kolorowy neon mrugał złowroźnie nad ich głowami, kiedy chłopak spokojnie powtórzył:

– Nie zrobię tego.

Przez moment ciężkiej ciszy mierzyli się spojrzzeniami, a potem czysty wybuchnął drwiącym śmiechem.

– Potrząśnij jeszcze raz tą magiczną bilą, którą chowasz pod czaszką, młody. – Pozorna wesołość, jak zawsze, nie obejmowała błękitnych oczu. – Nikt nie zdołał przelać krwi Smoka, a ktoś musi, więc zrobisz dokładnie to, co ci każę. Inaczej powiem twojemu ojczulkowi, że wzięła mnie ochota na takich zadziornych chłopców, jak ty. – Logan wyciągnął dłoń, jakby chciał musnąć policzek Capriego, ale ten nawet nie drgnął, więc mężczyzna cofnął palce. – Wystarczy przeznaczyć odpowiednią kwotę na te jego badania, a odda mi każde ze swoich dzieci. I ty dobrze o tym wiesz.

– Nie w moim przypadku. – Poczul wyrzuty sumienia względem rodzeństwa, w końcu miał z nich najłatwiej. – Ojciec nie pozwolił mi skrzywdzić. Nie ryzykowałby, że tym sposobem popsuje mój umysł... i wypaczy zdolności.

Czysty zmarszczył brwi. Chyba do niego dotarło, że chłopak nie blefuje, zaraz jednak rozpozgodził się i wzruszając ramionami, odparł:

– W takim razie zażądam twojej siostrzyczki. Tej, która zawsze za tobą łązi. Pisces, tak?

Dostrzegając niepokój blondyna, wyszczerzył się triumfalnie.

– Tak, dokładnie – ciągnął. – Brałem ją już raz, czemu nie wziąć znowu? Dziewczyna jest nieudanym eksperymentem, twój ojczulek nie okaże litości. – Czysty przysunął się do Capriego na tyle blisko, by chłopak poczuł ciepło jego oddechu na twarzy, i wyszeptał: – Zerznę ją, a potem oddam... nie wiem, ochroniarzowi? Albo lepiej – sprowadzę mutola z największym kutasem, jakiego ten

świat widział. Twoją malutką Pisces rozewrnie na strzepy. Pamiętaj... – rzekł głośniejszym głosem, z powrotem opierając się o ścianę – wystarczy tylko odpowiednia kwota.

Capricorn wbił wzrok w ziemię. Nie sprawdził, czy słowa Logana by się ziściły. Nie miał serca do przeprowadzenia symulacji.

Smok zaciągnął się cygarem i położył nogi na biurko, prezentując gościom skórzane buty ze specjalnymi otworami na pazury. W tle leciała muzyka, stary rock. Na ile Capri był w stanie stwierdzić, nawet bardzo stary.

– Będę używał noża – oznajmił blondyn.

Siedział naprzeciw Draaka, za plecami czując obecność wielce zadowolonego z siebie Logana.

– Normalnie nie pozwalamy wносить broni na arenę – odparł tubalnym głosem Smok.

– Ale jak tak na ciebie patrzę, chłopcze, to współczucie wywraca mi wszystkie żołądki. Dostaniesz nóż, ale swojego nie próbuj przeszmygłować. – Zakręcił ostrzegawczo dymiącym się cygarem. – Nie chcę żadnych sztuczek z maczaniem ostrza w truciźnie czy innych tego typu bredni.

Capri przyjął warunek.

– Jeszcze jedno – dodał. – Przed walką, ale już po wejściu na arenę, będę potrzebował trochę czasu.

– Po co? – spytał Draak, nie kryjąc zaskoczenia.

– Żeby przyjrzeć się zarówno tobie, jak i otoczeniu – odparł szczerze chłopak.

Miał zamiar jeszcze dziś zacząć zbierać dane o wielkim mutancie. Ba, przeczyta wszystkie legendy o smokach, które zdoła znaleźć, ale chwila wytchnienia zaraz przed starciem powinna zapewnić mu dodatkową przewagę.

Draak wyglądał na pewnego siebie. Nie, nie tylko to. On naprawdę mu współczuł.

Cóż, bazując wyłącznie na powierzchownej ocenie, Capri również nie dawałby sobie wygórowanych szans na wygraną.

– Dobrze, chłopcze – mruknął gardłowo Draak. – Dostaniesz dwie minuty. Będziesz mógł się napatrzeć do woli.

Capricorn skinął w podziękowaniu, ale zachował milczenie, już teraz dając sobie czas na obserwację.

Ogromne cielsko Smoka pozornie wyglądało na całkiem dobrze osłonięte. Łuski wyrastały mu z ramion, ciągnęły się po grzbiecie i pokrywały wszystkie kończyny, ale goła klatka piersiowa deformanty była pozbawiona naturalnego pancerza. Szyja również. Z kolei zgrubienia na nieco gadziej, choć wciąż bardzo ludzkiej fizys oraz łysej czaszce tak naprawdę nie mogły dawać znaczącej ochrony.

Capri już wcześniej zauważył, że łopatki giganta są dziwnie przerośnięte i wykrzywione. Trochę naiwnie pomyślał, iż przypominają kikuty po utraconych skrzydłach. Nie widział w nich żadnego zagrożenia, a wręcz potencjalną ułomność. Poza tym był jeszcze ogon, ale tego wystarczyło zgrabnie unikać, nie zapominając, że za plecami Draaka też nie jest bezpiecznie.

Po podsumowaniu wszystkiego niezaprzeczalnie najgorsze pozostawały kły oraz pazury. Powinni zakazać używania ich podczas walk, skoro tak restrykcyjnie traktowali tutaj broń.

– Coś jeszcze, chłopcze? – odezwał się Draak.

Dlaczego ludzie nie potrafili wytrzymać choćby pięciu minut w ciszy? Co takiego kryło się w atmosferze spokoju i kontemplacji, że wszyscy po chwili szaleli?

– Nie. To...

– To ma być walka do krwi – wtrącił obcesowo Logan. – Nie jakieś durne przedstawienie, jak to, które odstawileś z mechanicznych.

Smok zmarszczył czoło.

– Twój trener jest bardzo spostrzegawczy, co, chłopcze?

Podczas sarkastycznej wypowiedzi mutant nawet nie zerknął na czystego. Z pionowych źrenic nietrudno było wyczytać, kogo tak naprawdę miał na myśli.

– I silny – odparł Capri, a żeby rozwiać ewentualne wątpliwości, dodał: – Zna się na krachaga.

„Trener” oczywiście żywo potwierdził.

Jak mógł nie przewidzieć zamiarów Logana? Tłumaczył sobie, że mężczyzna wcale nie planował zmusić go do walki z Draakiem. Że w ostatniej chwili wpadł na ten – zapewne w swoim mniemaniu genialny – pomysł. Teraz Capri miał dwa tygodnie, żeby wymyślić, w jaki sposób pokonać Smoka.

Nie powinien marnować czasu, nie powinien być tu w ogóle przychodzić.

– Nie śpisz, prawda? – Usłyszał w ciemności szept Pisceś i poczuł, jak dziewczyna wierci mu się pod ramieniem. – Nie udawaj. Poznaję po oddechu, że nie śpisz.

Bez słowa pocałował ją w czoło.

– Zastanawiałam się – podjęła – czemu nagle zmieniłeś zdanie. Wiem, że mam idealne poślądki, a cycki też niczego sobie, ale wcześniej zawsze odrzucałeś moje zaloty. Co się stało, braciszku? Wyliczyłeś, że ulegniesz mi prędzej czy później?

– Tak – skłamał. Wolał nie mówić, że już od dawna pragnął jej równie mocno, co ona jego, i dotąd się powstrzymywał. Wypominały mu to do końca życia.

– I co? Kazirodztwo już cię nie brzydzi? – drażyła dalej.

To nigdy nie było problemem. Pisceś nie rozumiała, że rzucając kamieniem w tłum, mogłaby trafić kogoś bliżej ze sobą spokrewnionego. Nigdy nie chciała przyjąć do wiadomości, że są rodzeństwem tylko z nazwy.

Nie. Problemem był zmaltretowany umysł dziewczyny. Ojciec testował na niej swoją teorię dualizmu osobowościowego, ale dopie-

ro Gemini w tej materii okazały się sukcesem. Najwyraźniej dwiema osobami dzielącymi wspólne ciało trzeba się urodzić, inaczej w grę wchodziła jedynie choroba psychiczna, a Pisces była niezaprzeczalnie chora. Co, razem z talentem, którym obdarował ją papa, stanowiło dosyć niepokojące połączenie.

Capri nie chciał zranić siostry. Bał się naruszyć delikatną barierę separującą ją od szaleństwa, a już nieraz widział, co się dzieje po jej zerwaniu, i nie miał najmniejszej ochoty oglądać tego znowu. Do dziś po nocach śnił mu się czarny kot, którego nie zdołał odratować, po tym jak Pisces żywcem obdarła go ze skóry.

– Czemu mi nie odpowiadasz? – burknęła z wyrzutem i obróciła się do chłopaka plecami. – Już mnie nie kochasz, tak?

Objął ją pod piersiami i złożył delikatny pocałunek na karku.

– Kocham – powiedział cicho.

Jego ręka poruszyła się sama, szorstkie palce przejechały po gładkim brzuchu. Pisces westchnęła, Capri poruszył dłonią. Podniecenie gwałtowną falą przetoczyło mu się wzdłuż kręgosłupa, by po dotarciu do mózgu niczym tsunami zmżyć wszelkie smartwieńskie. Chłopak coraz śmielej pieścił drobne ciało Pisces, aż wreszcie schwycił ją za biodra i wziął od tyłu.

Jednak później, kiedy zaspokojona usnęła mu w ramionach, natrętne myśli bez problemu odnalazły drogę powrotną do jego głowy.

4. SMOCZA DUMA

Jama nigdy nie była tak pełna. Zwyklaki, mutanci, nawet jacyś zakamuflowani czyści; wszyscy tłoczyli się jak sardynki w puszcze. Było parno od oddechów, dosłownie brakowało tlenu.

Całe dwa tygodnie zbierano zakłady – teraz ludzie w napięciu czekali na wynik. Co bardziej optymistyczni postawili, że chłopak wytrzyma trzy minuty. Rzecz jasna, czasu na

„przyglądanie się”, o który poprosił, nie wliczano.

Takesz, odgrywający jednocześnie rolę prowadzącego i sędziego na arenie, nawet z mikrofonem nie był w stanie przebić się przez ścianę wrzaskliwych żądań. Tłum chciał, by zapowiedź jak najszybciej dobiegła końca, i okazywał to w zniecierpliwionych, pełnych przekleństw okrzykach. Aż wreszcie zawyli, niczym sfora dzikich psów, gdy niski dźwięk gongu przetoczył się nad ogólnym harmidrem.

Smok wkroczył na pole walki jako pierwszy; uniósł głowę, rozłożył ramiona i zarzytał grzmiać. Kochali go, on kochał ich. Nie istniała silniejsza miłość niż ta opłacona krwią i bólem, a jeśli to były cudza krew i cudzy ból – tym lepiej.

W uniesieniu Draak nawet nie zauważył, kiedy chłopak wszedł na arenę. Blondyn spokojnie okrążył plac, usiadł na ziemi przed przeciwnikiem i przymykając powieki, zaczął bezgłośnie mamrotać pod nosem.

Smok nie słyszał niczego poza wrzaskami tłumu i własnym rykiem, ale dawno już nauczył się odczytywać słowa z ludzkich warg.

„Cofnij, cofnij, cofnij”.

Co to miało znaczyć? Czyżby chłopaka ogarnęła panika i chciał zrezygnować? Cofnąć czas i sprawić, żeby to wszystko nigdy się nie wydarzyło?

Smokowi jeszcze bardziej zrobiło się żal młodzieńca.

– Nie cofniesz czasu, chłopcze – wyszeptał, nagle ignorując ukochaną widownię. – Nawet ja tego nie potrafię zrobić.

Blondyn wstał, zanim minęły obiecane dwie minuty. Zmierzył przeciwnika długim spojrzeniem, jednak w szarych oczach próżno było szukać strachu. Wypełniało je tylko skupienie.

Takesz uderzył w gong, który tym razem rozbrzmiał nadzwyczaj ponuro. Poza tym nic nie uległo zmianie. Smok nie ruszył się

z miejsca. Chłopak również. Tylko widownia nagle ucichła, oczekując w napięciu, kto wykona pierwszy ruch.

Draak otworzył usta, ale nie zdążył powieźć głośno tego, co miał na końcu rozdwojonego języka. Przeciwnik zrobił to za niego.

– Przykro mi, chłopcze, ale musimy zacząć – powiedział tym swoim łagodnym głosem, a Smok, nie wierząc własnym uszom, zastygł nieruchomo ze szczękami rozwartymi szeroko. Sparaliżowało go pierwszy raz od ponad stu lat. Jeśli blondyn potrafił czytać w myślach, walka nabrała nowego wymiaru, ale prawdopodobnie to był przypadek. Zwykły fart.

Draak szczęką zębami i ruszył na przeciwnika, jednak chłopak ani drgnął. A kiedy ogromna, łuskowata pięść poszybowała w jego stronę, zrobił krok do tyłu i uniknął ciosu. Tak po prostu. Nawet nie mrugnął, gdy podmuch powietrza zmierzwił mu włosy.

Podniecone głosy widowni urywały się po kolei. Zamiast krzyczeć, wszyscy zaczęli przecierać oczy ze zdumienia.

Blondyn stał niewzruszenie, tuż pod nosem Smoka.

Rozsierdzony olbrzym zamachnął się jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze! Ale efekt był zawsze taki sam. Krótki, wydawałoby się zrobiony od niechcienia manewr sprawiał, że Smok kończył z pustymi szponami. Jakby chłopak z wyprzedzeniem przewidywał każdy jego ruch.

Więc wtedy to nie był fart.

Draak dyszał ciężko, bardziej ze złości niż zmęczenia. Na dobrą sprawę dopiero się rozgrzewał. Bez ustanku zasypywał przeciwnika lawiną ciosów, mając nadzieję, że tamten potknie się wreszcie w swoim irytującym tańcu uników.

Nie zorientował się, że zdążył dotrzeć na brzeg areny. Bolesny ucisk prętów, między które wepchnął łapę, uświadomił mu to aż za dobrze. Rozzłoszczony, ryknął, strasząc kilka osób na parterze widowni, i zapał się noga-

mi, próbując wyciągnąć zakleszczoną kończynę. Jednocześnie był gotowy do obrony. Oczekiwał, że chłopak właśnie teraz zaatakuje, nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Rzuciło nim do tyłu, gdy kraty w końcu puściły. Ogonem pomógł sobie zachować równowagę, wzrokiem wciąż szukając przeciwnika, ale chłopak zniknął. Rozpłynął się w powietrzu.

Głośne buczenie widowni podpowiedziało Smokowi, gdzie patrzeć. Zadarł głowę i zobaczył blondyna, który zwinnie wspinał się po metalowym ogrodzeniu.

Syknął z irytacją. Zerowy poziom areny otaczały mocne, stalowe pręty, ale wyżej była zwykła siatka. Draak wąpił, by mogła wytrzymać jego ciężar.

Co miał robić? Rzucić w chłopaka śmieciami ciskany na pole walki przez tłum? Tylko by się zbłaźnił! Czyżby o to chodziło tamtemu? Chciał pozbawić Smoka dumy? Zhańbić?! Niedoczekanie!

Draak napiął potężne barki i zamruczał przeciągle. Łuski gęsto spadały na ziemię, kości trzaskały, przebijając skórę, a ta rozciągała się w mękach. Przemiany nigdy nie należały do najprzyjemniejszych. Poczul zapach ściekającej mu po grzbiecie krwi i wykrzywił wargi w chytrym grymasie.

Gdy wielkie, błoniaste skrzydła ukształtowały się za jego plecami, dwoma potężnymi machnięciami wzbil się w powietrze.

– I gdzie...?

Nie dokończył pytania, tylko warknął wściekle, widząc, jak usta blondyna układają się w zdanie: „I gdzie teraz chcesz uciec?”

Leciał do góry, kierując się w stronę zwiśającego na ostatnim piętrze widowni młodzieńca, a ludzie – przewidując, co zaraz nastąpi – uciekali stamtąd w popłochu. Był pewien, że teraz go dopadnie. Wyszczersony od ucha do ucha, gruchnął potężnym ramieniem w przeciwnika, rozrywając metalową siatkę jak papier. Potem poruszył skrzydłami, by odfrunąć nieco do tyłu i ocenić pocz-

nione szkody. Zobaczyć, w jakim stanie jest chłopak.

Po chwili zaryczał w niedowierzeniu. Młodego nie było, znowu gdzieś zniknął.

– Na górze! – krzyknął ktoś z widowni.

Ale było już za późno. Draak poczuł ciężar obcego ciała na plecach i zimne muśnięcie stali na szyi. Przeklęty nóż, zapomniał już o nim. Blondyn od początku walki nawet go nie wyciągnął.

Jucha popłynęła wartkim strumieniem i zalała nagą pierś, pod czaszką Smoka zaszumiało. Na swojej ukochanej arenie był niczym w klatce, miał za mało miejsca na powietrzne manewry. Nie mógł nawet rzucić przeciwnika.

Zaczął spadać. Z hukiem uderzył o ziemię, a miotając się, spróbował chwycić chłopaka za nogi. Ale młody już wcześniej z niego zeskoczył i teraz zaatakował.

Ostatnim, co zobaczył Draak, był błysk srebrnego ostrza.

5. KIEDY PATRZYSZ NA RYBY, KRÓLIK PODRZYNA CI GARDŁO

Braciszek myślał, że może ukryć przed nią wszystko. Że milczeniem przesłoni całą prawdę. Ale Pisces nie była taka głupia. Wiedziała, że szykuje się coś niedobrego już wtedy, gdy Capri wrócił ze spotkania z Loganem. Wyglądał na bardzo strapionego i pocałował ją! Jakby tego nie pragnęła, zrozumiała, że coś było nie tak.

Zaczęła śledzić go wieczorami, a on zawsze szedł w to samo miejsce. Smocza Jama nie podobała się dziewczynie, siedziało tam mnóstwo śmierzdzących alkoholem facetów, spoglądających na nią z tym ohydny błyskiem w oku, który tak dobrze знаła. Sądzili, że stanowią łatwą ofiarę. Na samą myśl odzywała się w niej Hare. Siostra całym sercem pragnęła pokazać zbokom, jak bardzo się mylą.

Tego dnia Capri nie wypowiedział nawet jednego słowa i Pisces pojęła, że cokolwiek złego ma się stać, nastąpi to właśnie dziś. Dlatego zanim ruszyła do Jamy, zabrała ze sobą ulubioną zabawkę.

Nie miała problemu, by precyzyjnie się na przód tłumu, za to męczyło ją złe przeczucie. Widziała już kilka pojedynków, odbywających się w lokalu, tym razem jednak podniecenie widowni było wyraźnie wzmożone. Ludzie ciągle rozmawiali o jakimś „blondasku”, który ma dzisiaj walczyc i nie wróżyli mu dobrze.

Pisces zagryzła wargi, dostrzegając wkraczającego na arenę Smoka. Widziała go już podczas poprzednich wizyt. Mutant był wielki! Aparycją przypominał przerośniętą jaszczurkę, do tego darł się jak oszalały, jednak coś w tych złotych oczach mówiło dziewczynie, że nie jest aż taki zły, jak sam siebie maluje.

Serce jej zamarło, gdy tylko ujrzała Capriego. Podejrzewała, że to on jest dzisiejszym przeciwnikiem Draaka, ale tak naprawdę dopiero teraz to do niej dotarło. Podskoczyła na dźwięk gongu, a potem wstrzymywała oddech za każdym razem, kiedy brat unikał ciosu Smoka. Pisces знаła jego możliwości, a jednak czuła strach. Capri wyglądał tak krucho w porównaniu z niemal trzymetrowym deformantą.

– Tak! – pisnęła, po tym jak wielka pięść Draaka utknęła między prętami.

Jednak chwilę później zaczęła przeklinać los. To było nieuczciwe! Podczas kiedy Smok szarpał się z kratami, ludzie próbowali strącić Capriego z ogrodzenia. Pisces widziała krew na podrapanych palcach chłopaka i ze złości uderzyła niemającego z tym nic wspólnego mężczyznę, który akurat stał obok niej. Mutant zaczął coś wrzeszczeć, ale wystarczyło jedno zimne spojrzenie Hare, by się zamknął.

Olbrzym uwolnił rękę, a Capri możliwie wysoko zawisł na siatce. I wtedy stało się coś potwornego. Smok zaczął rozwijać skrzydła.

– Uciekaj, Capri! – krzyknęła Pisces panicznie.

Ale on nie słyszał, w skupieniu obserwując przekształcającego się olbrzymia. To uspokoiło dziewczynę. Trochę.

Zasłoniła usta i przestała oddychać, z trwogą patrząc, jak bestia szarżuje na brata. I prawie oszalała ze szczęścia, kiedy w ostatniej chwili Capri skoczył do góry i uchwycił się metalowego zaczepu, zawisł pod sufitem.

Obiecała sobie, że zabije tego, który wykrzykiwał podpowiedzi dla Smoka, choć te przyniosły skutek odwrotny od zamierzonego. Draak spojrzął do góry, w idealnym momencie odsłaniając gardło. Capri opadł mu na plecy, przytrzymał brodę i gładkim ruchem przeciął tętnicę szyjną. Krew chlusnęła z rany, a tłum zaskowytał, jakby doświadczał bólu razem ze swym czempionem. Tylko Pisces nie mogła powstrzymać radości.

– Dobij go, braciszku! Dobij!

Smok powoli leciał w dół i znajdowali się jeszcze w powietrzu, kiedy Capri zwinnie zeskoczył na ziemię. Srebrne ostrze przejechało po żółtych ślepiach, a ryk pokonanej bestii wstrząsnął areną. Draak zakrył twarz ramieniem; odczołgując się do tyłu, zostawił za sobą ścieżkę z czerwonych smug.

Ludzie krzyczeli. Nagle Pisces zorientowała się, że powodem nie jest tylko przegrana Smoka. Normalnie w mundurach Straży Wewnętrznej wtargnęli do lokalu, zakuwając kolejne osoby z tłumu. Nietrudno jednak było zauważyć, że główne z sił porządkowych zacierają w stronę areny.

Goście Jamy uciekali, ile sił w nogach. Ciżba porwała dziewczynę ze sobą, głucha na jej wściekłe protesty. Pisces zdołała wydostać się ze ścisłu dopiero po tym, jak strumień ludzi zaniósł ją do tylnego wyjścia. Wiedziała, że nie ma sensu wracać do budynku. Musiała go okrążyć.

Biegła, rozchlapując brudne kałuże, i wrzeszczała:

– Capri! Capri!

Nagle pomyślała, że w ten sposób może ściągnąć sobie strażników na kark. Za późno. Dwóch zastąpiło jej drogę i Hare musiała się nimi zająć.

Przez te ścierwa straciły strasznie dużo czasu.

Kiedy dotarła przed Jamę, stały tam furgonetki z symbolami białego koła wymalowanymi po bokach. Istna chmara identycznych pojazdów, oprócz jednego – opancerzonego jak na wojnę, zaparkowanego niedaleko frontowego wyjścia z lokalu.

Pisces zrozumiała, że się spóźniła. Blond czupryna tylko mignęła jej w zasięgu wzroku, gdy jeden ze strażników wcisnął Capriego na tył uzbrojonej furgonki. Część samochodów już odjeżdżała – wszystkie zmierzały w tę samą stronę. A jednak, gdy opancerzony wóz ruszył, jako jedyny skierował się zupełnie gdzie indziej.

Pisces na chwilę spanikowała. Zabić ich wszystkich, szepnęła Hare. Ale co to da? Nie. Musiały dowiedzieć się, dokąd zabrali braciszka. Musiały znaleźć kogoś, kto...

Dziewczyna nagle utkwiała spojrzenie w znajomej twarzy. Mimo opalenizny i tego głupiego przebrania, od razu rozpoznała Logana. Rozmawiał z jakimś strażnikiem; obok stała luksusowa fura ze znakiem czystych.

Pisces nie miała problemu, by przekraść się do pojazdu. Musiała tylko powstrzymać parsknięcie śmiechu, gdy odkryła, że zamki są odbezpieczone, i czym prędzej wślizgnęła się do bagażnika.

Zdławiła lzy, które napływały jej do oczu na samą myśl o tym miejscu. Znała je. Już kiedyś była tutaj, pewnej okropnej nocy, którą spędziła z Loganem. Dlatego bez problemu odnajdywała drogę w rozległej rezydencji.

Teraz poszła do łazienki, by zmyć krew ochroniarzy z rąk, brody i ust. Inaczej czysty mógłby zacząć uciekać na jej widok, a tego nie chciała.

Zanurzyła głowę pod zimnym strumieniem i zerknęła ukradkiem w lustro. Wyprostowana niczym struna Hare patrzyła na nią wyczekująco. Uśmiechała się. Krople spływały po czarnych jak otchłań włosach i bladym czole, wpadały do ciemnych oczu.

– Już, już – mruknęła Pisces i wytarła twarz.

Potem zaczerpnęła głębszego oddechu i ruszyła do gabinetu Logana. Czysty musiał nie wychodzić z pokoju, dzięki czemu nie zauważył trupów leżących pod drzwiami.

Gdyby to zrobił, niechybnie usłyszałyby jego krzyk.

Wsunęła się ostrożnie do środka. Zamek trzasnął cichutko, gdy stanęła z założonymi rękoma przed biurkiem czystego.

– Czego? – warknął mężczyzna. Siedział w fotelu obrotowym, odwrócony plecami do wejścia, z bezprzewodową słuchawką przy uchu. – Rozmawiam!

– Kopę lat, Logan.

Mężczyzna obrócił się gwałtownie i zmienionym głosem powiedział:

– Przepraszam, panie komisarzu. Oddzwonię później. – Zerwał urządzenie z głowy i rzucił na blat. Potem wyszczerzył się fałszywie i spytał: – Pisces, słodziutka, co cię tu sprowadza?

Dziewczyna zacisnęła mocno pięści, a stalowe pazurki wbiły się boleśnie we wnętrze drobnych dłoni.

– Co zrobiłeś z Caprim?

– Mła? – Zamrugął figlarnie. – Nie rozumiem, o co ci chodzi, słodka.

Logan niby od niechcenia przejechał dłonią po brzegu biurka i nacisnął coś. Wyraz zaskoczenia na jego obliczu powiedział dziewczynie, co kryło się pod blatem.

– Jeśli sądzisz – podjęła Pisces – że twoi ludzie zaraz zbiegną ci na pomoc, to się grubo mylisz. Zabiłam ich.

Oczy Logana rozszerzyły się ze zdumienia.

– Wszystkich?

Widziała, że czysty zaczyna powoli dostrzegać ślady rzezi na jej ubraniu. Czerwone krople, których nie zdołała zmyć; zadrapania, które pozostawiły na niej paznokcie konających ofiar. Potrząsnęła głową.

– Koniec gadania. Gdzie jest Capri?

Logan wstał z fotela i wyprostował się dumnie.

– W drodze do ośrodka badawczego. Widzisz, twój ojczulek pozwala nam, Nie-skałanym, wypożyczać efekty swojej pracy, ale nigdy nie dzieli się sekretami. – Mężczyzna cmoknął z niezadowoleniem. – Tak być nie może, za kogo on się uważa? Jego sekrety powinny należeć do nas. A Capri już należy.

– Co zamierzacie mu zrobić?

Czysty zmarszczył brwi i popatrzył na nią jak na skończoną idiotkę.

– Pokroimy jego mózdzek w plasterki, co innego?

Dziewczyna rozłożyła ręce na boki i sprężyła mięśnie do skoku, ale on tylko fuknął pogardliwie, nie dając się speszyć.

– Nawet o tym nie myśl, suko. Jeden telefon i mogę uratować twojego chłoptasia.

Pisces opuściła ramiona, utkwivszy raptem puste spojrzenie w mężczyźnie. Musiał wziąć to za oznakę kapitulacji, bo wyszczerzył się złośliwie i dodał:

– Martwy tego nie zrobię, prawda?

– Tu się mylisz, Logan – powiedziała bez cienia emocji. – Zapomniałeś, że kiedy patrzysz na ryby...

Postać dziewczyny zamigotała i znikła.

– ...królik podrzyna ci gardło – wyszeptwała czystemu do ucha.

Jego własnym głosem.

Królica Hare podziwiała trzy równe, czerwone pręgi znaczące wykręconą szyję mężczyzny i oblizywała splamione pazury.

Krew była pyszna, lepsza od soku z mar-

chwi. Ciekawe, jak smakowałyby serce? Gdyby tylko miała czas, żeby sprawdzić...

Zgarnęła z biurka zestaw słuchawkowy, zadzwoniła pod ostatni wybierany numer i odchrząknęła.

– Panie komisarzu!

6. KOZIOROŻEC I SMOK

Logan od początku pogrywał sobie z nim, a on, głupi, skupił całą uwagę na walce z Draakiem. I niczego nie zauważył.

Pewnie zdołałby uciec z areny, gdyby nie Smok. Oślepiony, jakkolwiek gojąc się w zastraszającym tempie i rycząc wściekle, wciąż próbował wygrać. Nie zważając na otaczających go strażników, uderzał ogonem w stronę przeciwnika. Może stracił wzrok, ale nie węch, o czym Capri dobrze wiedział. Tyle że chłopak nie uwzględnił w obliczeniach szwadronu Wewnętrznych, robiącego nalot na Jamę. A to generalnie sprawę dosyć mocno komplikowało.

Tak, ostatnie dwa tygodnie były jednym wielkim pasmem pomyłek. Teraz płacił za popełnione błędy, zamknięty jak szczur w tej klatce na kołach, ze wzrokiem wlepionym w w przygarbionego Draaka.

Nadgarstki oraz kostki olbrzyma krępowały ciężkie kajdany, głowę owijała przesiąknięta krwią opaska, jednak rana na szyi zdążyła się zasklepić. Może nie „błyskawicznie”, ale zdecydowanie szybciej niż w przypadku zwykłych ludzi, którzy zresztą takie cięcie przypląciliby życiem. I zdecydowanie szybciej niż oszacował to Capri.

– To było dobre, chłopcze – wychrypiał niespodziewanie mutant i ramieniem spróbował zsunąć materiał z oczu. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz stoczyłem taki pojedynek.

– Miło mi to słyszeć – wyszeptał Capri. Odezwał się, choć za nic nie miał ochoty; przynajmniej tyle był winien Smokowi.

– Nie kłam. – Tamten wreszcie zdjął przepa-

skę i mrugnął do niego ozdrowiałym okiem, drugie skrywając pod grubą powieką. – Widziałem, że walka nie sprawia ci przyjemności.

– Nie. Nie sprawia...

– Ale lubisz zaglądać innym do głów, co?

Chłopak zmarszczył brwi w konsternacji, zaraz jednak roześmiał się cicho.

– To nie tak. Ja przewidziałem twoje ruchy.

– Nie pierdol! – Smok zabrzączał grubym łańcuchem. – Jak?

– Sam do końca nie wiem. – Capri wbił wzrok w podłogę furgonetki. – Dla mnie to równie naturalne, co oddychanie. Zbieram dane i rozpoczynam kalkulacje, oglądam różne wersje wydarzeń, po czym wybieram najlepszą możliwą.

– I to tak od urodzenia?

Potaknął.

– Na początku, oczywiście, byłem w tym słabszy, ale z czasem się wyrobiłem. Ojciec wiedział już, że nie można na mnie naciśkać. Stał się ostrożniejszy po nieudanej próbie z moim... – zająknął się i westchnął. – Z moim prototypem.

Draak przyglądał mu się bez wiary, jednak gdy otworzył usta, w jego głosie próżno było szukać kpiny. Tylko zaciekawienie.

– Czyli co? Twój ojciec jest jakimś pieprzonym szalonym naukowcem?

Capri nie musiał udawać rozbawienia.

– Mniej więcej tak. Na początku nie było kolorowo, ale z czasem zdobył renomę i jego projekt osiągnął sukces.

– Jaki projekt?

– My wszyscy. Ja, moi bracia i siostry. Projekt Zodiak.

– Dlatego masz takie durne imię! – Smok parsknął drwiąco. – Bo zgaduję, że Capri jest skrótem od Capricorna, co?

Chłopak poderwał głowę. Może to dziwne, ale nigdy nie przedstawił się Draakowi.

– Skąd wiesz?

– Domyśliłem się podczas walki. Okrzyki tej twojej siostry ciągle wdzierały mi się pod kopułę. Zwariować było można.

Pisces! Był taki głupi. Taki głupi! Chwycił się za skronie i przytknął oczy. Jego towarzyszy umilkł, widząc, że niechcący poruszył niewłaściwą strunę w umyśle chłopaka. Nie wytrzymał jednak długo.

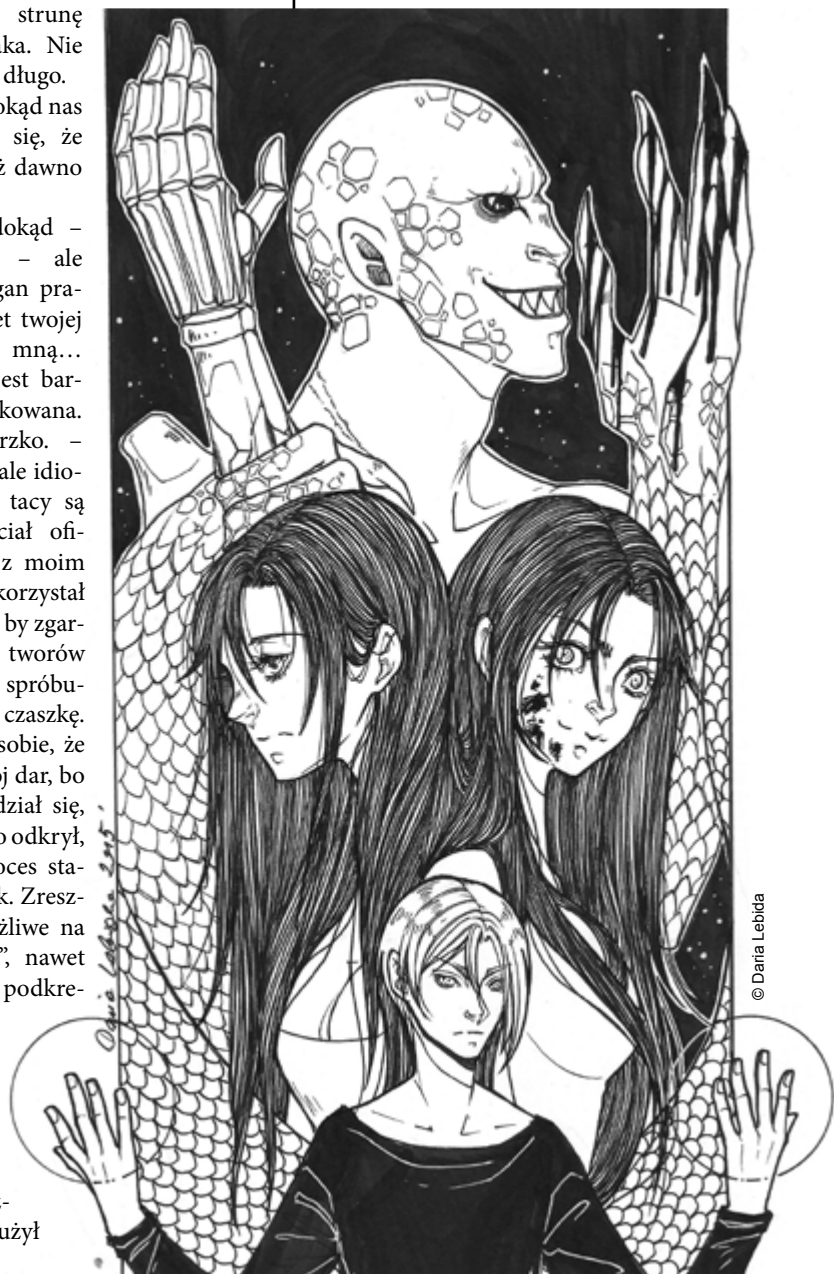
– Jak myślisz, dokąd nas zabierają? Założę się, że nie do aresztu, już dawno byśmy wysiadali.

– Nie wiem dokąd – wyszeptał Capri – ale wiem, po co. Logan pragnie poznać sekret twojej regeneracji. A ze mną... Ze mną sprawa jest bardziej skomplikowana.

– Westchnął gorzko. – Logan jest idiotą, ale idiotą z zasobami, a tacy są najgorsi. Nie chciał oficjalnie zadzierać z moim ojcem, więc wykorzystał kontakty w Straży, by zgarnąć jeden z jego tworów dla siebie. I teraz próbuje zajrzeć mi pod czaszkę. Pewnie ubzdurał sobie, że jakoś przejmie mój dar, bo wątpię, by dowiedział się, że ojciec już dawno odkrył, jak zatrzymać proces starzenia się komórek. Zresztą to nie jest możliwe na „etapie człowieka”, nawet Nieskalanego – podkreślił sardonicznie. – W Boga trzeba bawić się wcześniej, przed powstaniem życia.

Smok zmarszczył czoło i zmrużył zdrowe oko.

- To ile ty masz lat, chłopcze?
- Och, ja jestem najmłodszy w rodzinie.
- Ile? – nie odpuścił.



© Daria Lebida

Capri poczuł się zawstydzony.

– W październiku skończyłem siedemnaście – wymruczał.

Draak wybuchnął głośnym rechotem. Uderzał skrzępowanymi dłońmi o uda, brzęcząc łańcuchami i trzęsąc się tak mocno, że lzy zaczęły mu ściekać po policzkach.

– W październiku?! To ty nawet nie jesteś spod Koziorożca!

Smok dał mu trochę czasu na przeprowadzenie kalkulacji. Trzeba było przyznać, że nie przeszkadzał, a nawet oddychał jakoś tak ciszej.

Capri liczył. Oglądał wyniki. Podmieniał dane. Tyle opcji, tyle ewentualnych przyszłości. Głowa zaczynała mu pękać.

– Za dużo niewiadomych – wypłul z irytacją. – Nie potrafię...

– Spokojnie, chłopcze. – Draak uśmiechnął się pokrzepiająco. – Wszystkie te lata, które dane mi było przeżyć, na pewno nauczyły mnie jednej rzeczy. – Sapał ciężko. – Nie można wiedzieć wszystkiego.

Ta prosta prawda uderzyła Capriego niczym mocny cios w szczękę. Nagle zachciało mu się wrzeszczeć.

– Właśnie. – Smok odchrząknął. – Tak mnie to w sumie dręczy... Skąd wiedziałeś o skrzydłach?

Chłopak przełknął gulę złości narastającą w gardle i odpowiedział cicho:

– Po pięciu dniach byłem już pewien, że się regenerujesz. A jednak te zgrubienia na plecach... wyglądały, jakby czegoś brakowało. Ale to nie miałoby sensu, skoro ucięta dwadzieścia lat temu ręka odrosła ci w parę dni. – Zrobił krótką pauzę. – Wtedy odnalazłem kolejne zapiski, wydawałoby się, o tym samym mutancie, tym razem jednak latał. Szczerze powiedziawszy, koniec końców, zaryzykowałem. Poszedłem za przecuciem.

Draak wykrzywił się drapieżnie.

– W takim razie to samo zrobimy teraz. Niech tylko...

Capri zaprzeczył energicznie.

– Logan może mieć Pisceś. Tym razem nie będę ryzykował.

– No to dupa, chłopcze. Dupa błada.

Od tego momentu rozmowa przestała się kleić. Obaj w jakiś sposób przeczuwali, że ich wspólna przejażdżka niedługo dobiegnie końca. Furgonetka parę minut później stanęła, a drzwi otworzyły się szeroko. I wtedy stało się coś, czego Capri nie widział w żadnej z symulacji. Grupa uzbrojonych po zęby strażników przepuściła między sobą eleganczko ubranego mężczyznę, a ten zdjął słuchawkę z głowy, podał ją chłopakowi i jak gdyby nigdy nic, oznajmił:

– Telefon do pana.

Capri chwycił urządzenie i ostrożnie przystawił do ucha. Potem z oszołomieniem wysłuchał przeprosin komisarza Straży i tyle – zdjęto Draakowi kajdany, wygłoszono kolejne słowa skruchy, na koniec puszczone ich wolno, proponując również transport powrotny. Jako że za nic nie daliby się wciśnąć z powrotem do furgonetki, podziękowali uprzejmie i nie minął kwadrans, a zostali sami w ciemnościach.

– Wiesz, jak stąd wrócić do centrum? – spytał Capri.

– Ni chu chu, chłopcze. Ale pamiętaj...

Dzwonek zabrzączał wesoło, gdy drzwi kawiarni otworzyły się przed chłopakiem. To było takie staromodne, nawet miało swój urok.

– Przepraszam, że pana budzę.

Bezdomny drgnął nerwowo i zwrócił na niego spojrzenie nieprzytomnych oczu.

– Widzi pan, jestem lekarzem – wytłumaczył Capricorn. – I zauważyłem...

Dodaj szpital. Nie cofaj. W końcu nie możesz wiedzieć wszystkiego. ■

Dni, które wstrząsnęły światem

Dominik Sokołowski

*There was thunder there was lightning
then the stars went out and the moon fell from the sky
it rained mackerel it rained trout
and the great day of wrath has come
and here's mud in your big red eye
the poker's in the fire and the locusts take the sky
and the earth died screaming while I lay dreaming of you*

(Tom Waits, *Earth died screaming*)

Zdaje się, że wszystko zaczęło się od naszego pracownika działu sprzedaży. To był poniedziałek, dwudziesty czwarty października, podobny do wielu innych poniedziałków w Wielkim Jabłku. Nie wyróżniał się niczym, poza tym, że właśnie tego dnia wypadały moje czterdzieste urodziny. Siedziałem w swoim minimalistycznie urządzonej gabinecie na pięćdziesiątym piątym korporacyjnego biurowca, a grawerunek na mosiężnej tabliczce nie pozostawiał wątpliwości co do mojej funkcji: „Robert Discroll – dyrektor wykonawczy Metabank”. Korpolutki typu B – pracownicy, którzy w przeciwieństwie do typu A, nie byli strategicznym zasobem firmy, więc można było ich w każdej chwili zredukować – dzielnie wypracowywały kolejne miliony przychodów, gdy ja wytapiałem czas do lunchu zajęty przechodzeniem kolejnych leveli najnowszej wersji *Pacmana*.

Dokładnie o jedenastej czterdzięci osiem na ekranie komputera wyskoczyło okienko z kanciąstą twarzą Mike’a Blaira, szefa ochrony. Z bólem serca wyłączyłem *Pacmana* i odebrałem połączenie.

– Robert – w naszej firmie panuje zwyczaj mówienia po imieniu nawet w kon-

taktach z ważnymi figurami korporacyjnej hierarchii. Niby, że wszyscy jesteśmy jedną, wielką rodziną i takie tam bzdety. – Mamy poważny problem w dziale HR – rysy twarzy Mike’a były nienaturalnie ściągnięte. – Musiałem zastrzelić Jamesa Karpinskiego. Obejrzyj to zanim przyjadą gliny – wysłał mi załącznik video.

– Co!?! – o mało nie zakrztusiłem się dietetyczną colą – Jaja sobie robisz?

– Po prostu obejrzyj zapis.

Moja dłoń zaczęła nerwowo ruszać myszką, a palce drugiej ręki stukać w klawiaturę. Gorączkowo sprawdzałem, kim u diabła był James Karpinski. Zanim odpalił się załącznik z filmem, zdążyłem przeczytać, że pracował u nas od dwóch lat, trzy tygodnie temu awansował na stanowisko menadżerskie w dziale sprzedaży, tydzień temu poszedł na urlop, z którego dzisiaj wrócił.

Kadr ukazywał wnętrze pokoju. Po jednej stronie stołu siedziała nienagannie umalowana Linda Mae z działu HR oraz jakiś koleś z departamentu prawnego, po drugiej spocyny Karpinski.

– Chcecie mnie zwolnić? – pytał z niedowierzaniem James. – Przecież dopiero co awansowałem.

– Podczas twojego urlopu doszło do poważnych nieprawidłowości. Plan sprzedażowy uległ załamaniu. Przykro mi James, ale nie sprawdziłeś się – tłumaczyła spokojnie Linda.

– Chodzi o ten urlop? Należał mi się. Przez wiele miesięcy tyrałem jak wół bez odpoczynku. Zresztą to był zaległy za zeszły rok, musiałem go wybrać.

Nikt nie zamierzał z nim dyskutować.

– Najlepiej będzie, jeśli po prostu to podpiszesz – prawnik podsunął delikwentowi kartkę i długopis.

Karpinski obracał przez chwilę długopis w palcach. Najpierw zbladł, później zsiniał, na koniec jakby pozieleniał. Wydawało się, że zasłabnie lub będzie wymiotował. Linda chyba coś wyczuła:

– Spokojnie, James, może szklankę wody?

– PIERDOŁĘ WAS!!! – to były ostatnie artykułowane dźwięki, jakie wydał z siebie Karpinski. Wstał, a z jego krtani dobywał się na wpół zwierzęcy charkot. W następnej chwili wskoczył na stół i dopadł Lindę. Przewrócili się wraz z krzesłem i zniknęli z ujęcia kamery. Przerażony prawnik rzucił się do drzwi, krzycząc o pomoc. Po chwili spoza krawędzi stołu wyłoniła się twarz Jamesa umazana krwią. Na tym film się urywał.

Zszokowany, z niedowierzaniem wpatrywałem się w ekran.

– Pomyślałem, że oszczędzę ci dalszej części – odezwał się Mike. – Kiedy mój człowiek dotarł na miejsce, Karpinski wyżerał wnętrności Lindy, po tym jak rozdarł jej brzuch gołymi rękami. Nie dawał się obezwładnić ani uspokoić i pokąsał ochroniarza, zanim go zastrzeliłem. Karetka i policja są już w drodze.

– Ale co to było? Atak szału?

– Nie mam pojęcia. Na wakacje poleciał do Afryki, może coś stamtąd przywłókł?

– Cholera. Odizoluj wszystkich, którzy mieli z nim kontakt.

– Wiesz co było najgorsze? – głos Mike'a załamał się, a ten dwumetrowy olbrzym, były komandos, nie należał do mięczaków. – Wpakowałem w niego trzy kule, a on nawet nie jęknął. Szedł dalej prosto na mnie i padł dopiero jak strzeliłem mu między oczy. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Weź się w garść, Mike – wtedy łatwo mi było to mówić. – Czekaj na gliny, ja muszę uruchomić procedury. Myślę, że będziemy potrzebować całej armii prawników.

W ciągu następnych pięciu minut wykonałem masę ważnych telefonów. Mike nie oddzwaniał. Dziwne. Policja jeszcze nie dotarła? Za to próbował połączyć się ze mną Chris Peterson, senior manager z działu projektów. Nie miałem dla niego teraz czasu. Był jednak uparty i przesłał mi filmik zrobiony smartfonem. Na ekranie zobaczyłem ludzi siedzących w boksach jeden obok drugiego. Ujęcie z góry. Chris nagrywał z perspektywy swojego pokoju nadzorcy. Wszyscy pilnie klepali w klawiatury. Nagle jeden po drugim przestawali pisać czy też klikać i nieruchomieli. Kilkadziesiąt sekund później wszyscy wstali jak na komendę i zaczęli dreptać po całej sali. Wyglądali jak w transie. Bardzo nie spodobał mi się ten widok. Natychmiast połączyłem się z Petersonem:

– Co się tam u ciebie dzieje?

– To mi wygląda na jakąś manifestację. Próba strajku? – głosowi Chrisa towarzyszyły szумы charakterystyczne dla człowieka będącego w ruchu oraz głębiej w tle jakby... powarkiwanie. – Wracajcie do pracy! – stanowczym tonem zwrócił się do niewidocznych dla mnie osób.

Włosy zjeżyły mi się na karku:

– Chris! Nie zbliżaj się do nich! – krzyknąłem, ale było już za późno. Następną rzeczą, jaką usłyszałem, był wrzask Petersona przechodzący w okropny bulgot, po czym połączenie zostało zerwane. Próbowałem wywołać go ponownie, ale bez rezultatu. Również Mike nie odpowiadał. Na litość boską! Dział HR był na trzynastym piętrze, dział projektów na trzydziestym pierwszym. Wniosek mógł być tylko jeden: TO szło w górę. Ale jak się rozprzestrzeniało? Przez wentylację? Połączyłem się ze swoją asystentką:

– Natychmiast wyłącz klimatyzację. Poza tym – zablokuj windy i każ wszystkim pozostać na miejscach.

– Robercie, co się dzieje?

– Zagrożenie epidemiologiczne.

– Ale...

– Proszę wykonywać polecenia i zachować spokój – rozłączyłem ją. Policja już dawno powinna być na miejscu. Wybrałem numer alarmowy. Zdziwiłem się, że nie mogłem uzyskać połączenia z powodu przecięcia linii. Zerknąłem na wiadomości. Nagłówki donosiły o krwawych zamieszkach przed naszym biurowcem. Zerwałem się i podbiegłem do okna.

Ulice Dolnego Manhattanu ogarnięte były chaosem porównywalnym jedynie z tym, co nastąpiło po zamachach z jedenastego września. Samochody stały porzucone gdzie popadło, niektóre zczepione ze sobą, tworząc gigantyczny korek, w którym migały światła zablokowanych pojazdów ratunkowych. Woda z rozbitych hydrantów zalewała jezdnię i chodniki. Ludzie biegali w panice, inni leżeli bez ruchu. Zaczynałem zdawać sobie sprawę, że mogę nie doczekać odsieczy, jeśli wypadki będą toczyły się w takim tempie.

Nagle szyba zatrzęsała się jak od uderzenia gromu. Nie więcej niż kilkadziesiąt stóp od miejsca, w którym się znajdowałem, z wizgiem motoru pikował w dół śmigłowiec stacji telewizyjnej. Na moich oczach rozbił się pięćdziesiąt pięter niżej, znikając w wielkiej kuli ognia.

Helikopter! Przecież na dachu znajdował się firmowy śmigłowiec, a ja posiadałem licencję pilota. Pomyślałem, że najwyższa pora zabierać stąd swój tyłek. Nie tracąc więcej czasu opuściłem biuro.

– Pan wychodzi? – spytała moja asystentka.

– Przyjechały służby ratunkowe. Konieczna jest moja obecność, ale ty zostań na miejscu. – Może moje postępowanie nie było do końca fair, ale najważniejsze to nie szerzyć paniki.

Windy nie działały. Nie wiem czy był to efekt wcześniejszego polecenia, czy po prostu się popsuly. Wyszedłem na klatkę schodową. Do przebycia miałem piętnaście pięter w górę. Mieliliśmy wyjątkowo ciepłą jesień,

wentylacja nie działała, na schodach było niemiłosiernie duszno, toteż szybko porzuciłem krawat i markową marynarkę. Gdy przystanąłem dla zaczerpnięcia oddechu, moje uszy złowiły dziwny dźwięk: odległe szuranie wielu stóp, sapanie i cichy warkot. Chryste! Szli po schodach! Przechyliłem się przez poręcz. Dostrzegłem zbitą masę ludzką niestrudzenie pełznącą w górę. Szare twarze bez wyrazu oraz zakrwawione, podarte lub niekompletne ubrania nie pozostawiały wątpliwości. Wyglądało to jak marsz ślepców. Miałem przewagę około dziesięciu pięter.

Niestety, na pomysł ucieczki na dach wpadło więcej osób. Z racji zajmowania górnych pięter przez dyrekcję, przeważali ludzie z kierownictwa firmy. Dołączyło do mnie grono managerów, project leaderów, coachów, a do tego stadko wystraszonych asystentów i sekretarek. Zapach strachu mieszał się z wonią drogich perfum. Naszą trasę znały porzucone buty na wysokich obcasach. Słyszałem wymieniane zduszonym szeptem uwagi, spekulacje na temat wariantów ratunku. Ktoś szlochał, ktoś dzwonił do przyjaciela.

Zachowywałem milczenie i myślałem o śmigłowcu: to była lekka, biznesowa maszyna, mogła zabrać sześć, góra osiem osób.

Po drodze stłukłem szybką pojemnika podręcznego sprzętu przeciwpożarowego i wyciągnąłem topór strażacki:

– To dla samoobrony – wyjaśniłem współtowarzyszom. – Wyjdę na dach pierwszy i sprawdzę, czy jest bezpiecznie. Szef odpowiada za swoich ludzi. – Byłem najwyższym w korporacyjnej hierarchii, więc nikomu nie przyszło do głowy, żeby zakwestionować mój plan.

Ostrożnie uchyliłem ciężkie, metalowe drzwi prowadzące na dach. Wychyliłem głowę i rozejrzałem się na boki. Żywego ducha. Postąpiłem krok naprzód, błyskawicznie odwróciłem się, zatrzasknąłem drzwi i zablokowałem je toporem. W pamięci miałem kadry ze starego filmu, w którym

dryfujący rozbitkowie z tonącego statku czepiają się burt jedynej szalupy. Przepychają się między sobą, ci będący już na pokładzie łodzi ratunkowej odpychają wiosłami tych będących jeszcze w wodzie. W końcu przeciążona szalupa wywraca się i toną wszyscy. Rozumiecie teraz, że musiałem podjąć kroki zaradcze. Wyprzedzanie konkurencji o kilka posunięć to jedna z umiejętności, które uczyniły ze mnie człowieka sukcesu.

Nie zważając na przekleństwa i błagania, pobiegłem do helikoptera. Odsunąłem drzwi kabiny i usiadłem na miejscu pilota. Uruchomiłem silnik, na szczęście bak był prawie pełen. Zapłonęły zegary, kontrolki sygnalizowały gotowość poszczególnych systemów, wirnik nabierał obrotów. Chciałem zapiąć pasy, kiedy dostałem potężny cios w tył głowy; aż pociemniało mi w oczach. Osobnik w kombinezonie pilota skoczył na mnie z małą zręcznością z tylnego fotela. Odruchowo zasłoniłem się ręką i sekundę później poczułem jak jego zęby zaciskają się na moim przedramieniu. Delikatny jedwab koszuli stanowiął słabą ochronę przed żelaznym uściskiem szczęk.

– Puszczaj, skurwielu! – krzyknąłem, lecz odpowiedział mi tylko znajomy warkot. Twarz napastnika nie wyrażała żadnych emocji. Z pewnością mnie widział, ale pustka nieruchomego spojrzenia powodowała, że sprawiał wrażenie człowieka pozbawionego duszy. Smród z rozchylnych ust przywodził na myśl rozkopany grób, albo może wcześniej zjadł coś mocno doprawionego czosnkiem.

Zdołałem uwolnić rękę, tracąc rękaw i uncję mięsa. W następnej chwili palce zakrzywione jak szpony chwyciły mnie za twarz, wciskając w oparcie fotela. Musiałem zamknąć oczy, żeby mi ich nie wydrapał. Drugą ręką złapał mnie za gardło. Nasza szamotanina spowodowała, że śmigłowiec uniósł się i zaczął powoli dryfować w powietrzu. Wolną ręką wodziłem w przestrzeni wokół fotela. Trafiłem na podręczną gaśnicę.

Ostatkiem sił zdołałem ją wyrwać z uchwytu i uderzyć w czerep szaleńca. Zyskałem moment oddechu. Helikopter niebezpiecznie zbliżył się do krawędzi dachu. Wyrwałem zawleczkę i wystrzeliłem strumień piany, który odepchnął pilota na drugi fotel. Tłukłem go metalową gaśnicą po twarzy, dopóki nie przestał się poruszać. Śmigłowiec dosłownie chwiał się na krawędzi. W ostatniej chwili wyprowadziłem maszynę na bezpieczny kurs. Na dach wyległy figurki ludzi, którzy zdołali wreszcie sforsować drzwi, jednak byłem już poza ich zasięgiem. Ustabilizowałem lot i pozbyłem się truchła współpasażera, którego głowa zmieniła się w bezkształtną masę włosów, mózgu i kości. Sprzęt gaśniczy po raz drugi wykazał swoją przydatność.

Włączyłem radio. Wiele stacji milczało, inne nadawały komunikaty o wprowadzeniu stanu wyjątkowego na obszarze całego kraju. Skala zdarzeń przerastała moją wyobraźnię. Teraz, gdy moje życie nie było bezpośrednio zagrożone, nastał dobry moment, żeby skontaktować się z najbliższymi. Rodzice mieszkali w innym stanie, pozostawała więc żona i kochanka. Z żoną nie łączyło mnie nic oprócz bardzo niekorzystnej intercyzy, dzieci nie mieliśmy. Nicole, miała dwadzieścia lat, jędrne ciało, które dostarczało wiele radości i zawsze była gotowa mnie wysłuchać. Cóż, małżonka będzie musiała poradzić sobie sama, postanowiłem zadzwonić do Nicole. Na szczęście telefony jeszcze działały i linia była wolna:

– Robert! – miło było usłyszeć jej słodki, pełen troski głos. – Dzięki Bogu! Nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Nic ci nie jest?

– Jestem cały. – Zraniona ręka bolała jak diabli, ale w tej chwili był to drobiazg. – Jak to wygląda u ciebie?

– Tutaj jest dość spokojnie – mieszkała w luksusowym lofcie w SoHo, który dla niej wynajmowałem – ale w telewizji pokazują straszne rzeczy, nikt nie wie co się dzieje...

– Posłuchaj mnie bardzo uważnie – prze-

rwałem w zarodku rozpoczynający się monolog. – Nikomu nie otwieraj, spakuj najpotrzebniejsze rzeczy i wyjdź schodami pożarowymi na dach za dziesięć minut.

– Na dach?

– Lecę helikopterem.

– Helikopterem?

– To dłuższa historia. Nikomu ani słowa i bądź gotowa za dziesięć minut – przypomniałem.

– Dobrze, będę. Kocham cię.

– Ja ciebie też – wymieniliśmy rytualne słowa na koniec rozmowy, znane z każdego amerykańskiego filmu.

Byłem na miejscu w ciągu kilku minut, jednak Nicole jeszcze nie było. Przyszło mi do głowy kilka cierpkich myśli o próżności kobiet, które zawsze mają kłopot ze spakowaniem garderoby. Próbowiałem do niej dzwonić, ale nie odbierała. Wisiałem nad dachem kamienicy na przemian coraz bardziej zaniepokojony i zły. Na szczęście nie musiałem rozstrzygać dylematu – odlatywać bez niej czy wylądować i iść jej szukać, bo Nicole wbiegła na dach. Była boso i sprawiała wrażenie, że opuściła mieszkanie tak jak stała. Pęd powierza wytwarzany przez wirnik prawie zerwał z niej sukienkę.

Przyziemłem maszynę i dziewczyna wskoczyła do środka. Rzuciła mi się na szyję – jakże odmienne uczucie od tego, gdy próbował to zrobić zakażony pilot – i obsypała pocałunkami. Policzki miała zaróżowione, a piersi unosiły się w rytm przyspieszonego oddechu:

– Conchita mnie zaatakowała! – wyrzuciła z siebie rozedrganym od emocji głosem.

Zupełnie zapomniałem o latynoskiej gosposi:

– Przecież ona dobija sześćdziesiątki.

– Pakowałyśmy się i nagle po prostu się na mnie rzuciła! Rozbiłam na niej wazon, ale to jej wcale nie powstrzymało. Zamknęłam się w łazience i nie wiem, co byłoby dalej, gdyby stary pan Bloom nie przyszedł odebrać czyn-

szu. Odciągnął jej uwagę i wtedy zdołałam wymknąć się do ciebie. Tak bardzo się bałam...

– Już wszystko dobrze – starałem się ją uspokoić. – Jesteś bezpieczna.

– O Boże! Ty krwawisz! – Faktycznie cały kokpit był uwalany krwią ze zranionej ręki. – Co się tutaj stało?

– Powiedzmy, że między mną a pilotem doszło do różnicy zdań, w wyniku której on musiał wysiąść.

Nicole nie była w nastroju do żartów:

– Jesteś wariat – prychnęła. Odszukała apteczkę pierwszej pomocy, zdezynfekowała ranę i założyła opatrunek. – Dokąd lecimy?

– Do mojej chatki nad Jeziorem Wanak-sink. – Taki miałem plan. Odskokzyć około osiemdziesięciu mil od Nowego Jorku i przeczekać na wsi do czasu opanowania kryzysu przez władze.

Przelot zajął nam około godziny. Brzegi jeziora porastał las, w którym skrywały się domy letniskowe. Każdy z nich posiadał własną przystań lub pomost, większość także hangary na łodzi. Posadziłem śmigłowiec na skrawku plaży przy swojej posesji. Wskaźnik poziomu paliwa pokazywał, że pozostało mniej niż pół baku.

– Mówiłeś o chatce – powiedziała Nicole, gapiąc się na piętrową rezydencję.

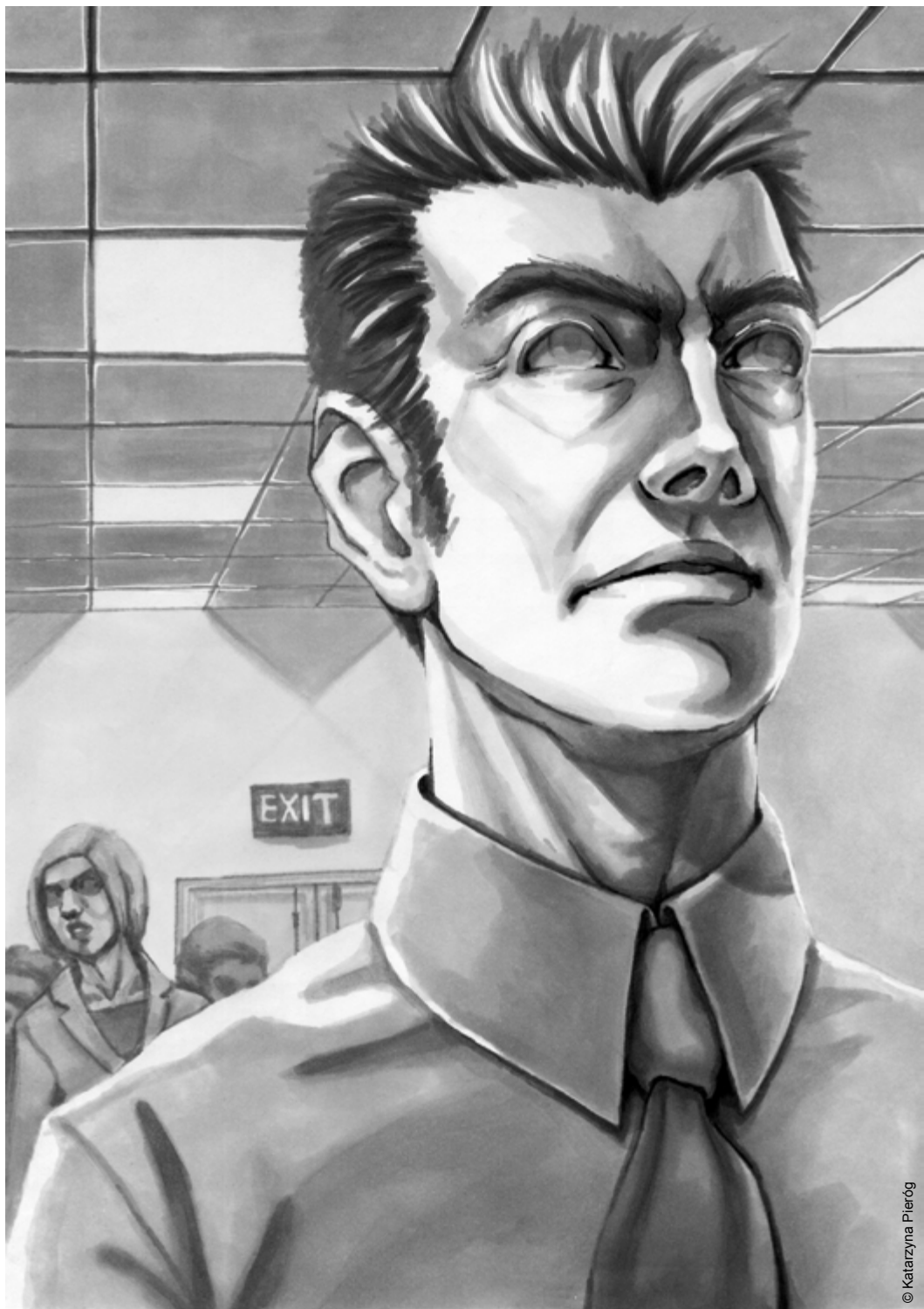
– Częściowo jest zbudowana z drewna – odparłem z miną niewiniątka.

Dom miał obszerny salon z kominkiem, kuchnię z jadalnią, cztery sypialnie i dwie łazienki. Oczywiście wszystko z najnowszym wyposażeniem, były też podstawowe zapasy. W garażu miałem piętnastostopowy jacht, terenówkę oraz własny generator prądu.

– Tutaj mogliśmy przetrwać nawet trzecią wojnę światową – stwierdziła nieco zbyt optymistycznie Nicole.

– Rozgość się, w sypialni na górze znajdziesz trochę ciuchów mojej żony, a ja się rozejrzę.

Dokonałem szybkiej inspekcji domu i otoczenia. Wszystko zdawało się być w porządku.



W domu najbliższych sąsiadów nie dostrzegłem żadnego ruchu ani jakichkolwiek śladów czyjejś obecności. Na wszelki wypadek ze ściennej gablotki wyjąłem myśliwski sztucer i pudełko naboji. Wołałem mieć broń pod ręką i gotową do użycia.

Tymczasem Nicole zakrzętnęła się w kuchni i zrobiła nam tosty z dżemem. Na tym chyba wyczerpywały się jej umiejętności kulinarne. Usiedliśmy w salonie i włączyłem wielką plazmę zajmującą pół ściany.

Telewizyjne serwisy informacyjne – te, które jeszcze nadawały – podawały same przynębiające wiadomości. Zaraza krwawego szaleństwa rozprzestrzeniła się błyskawicznie na całym świecie, nikt nie znał jej przyczyn, drogi zakażenia, ani nie potrafił zaproponować sensownych środków zaradczych. Większość państwowych struktur poszła już w rozsypkę, w ogólnym zamieszaniu Indie i Pakistan zdążyły wymienić atomowe ciosy. Krótko mówiąc, świat ogarnął chaos na niespotykaną dotąd skalę. Pierwsze obserwacje łączęgów (tak media ochrzciły zarażonych) donosiły, że nie byli zbyt żwawi, po prostu snuli się bez celu, jednak gdy tylko widzieli, słyszeli lub wyczuwali zdrowych ludzi, ogarniał ich amok. Tak jakby całą posiadaną energię gromadzili na furiacki atak. Przejawiali także tendencję do łączenia się w większe grupy. Zdawali się być całkowicie niewrażliwi na ból i odnoszone obrażenia, a najskuteczniejszym sposobem ich powstrzymania była dekapitacja lub kulka w głowę.

Wyłączyłem telewizor, kiedy Ann Fox, gwiazda dziennikarstwa oraz celebrytka, została rozszarpana na wizji przez własnych kamerzystów i dźwiękowców przy współudziale charakteryzatorki.

Próbowaliśmy dodzwonić się do znajomych, ale telefony nie działały albo abonenci byli niedostępni. Nicole rozplakała się, kiedy zadzwoniła do matki i usłyszała w słuchawce nieartykułowany warkot oraz mlaskanie. Pocieszałem ją, później się kochaliśmy,

w końcu zasnęła. Zostawiłem ją na kanapie, a sam wyprowadziłem z hangaru i zwozowałem łódź, żeby mieć alternatywny środek ucieczki.

Dom sąsiadów niknął w mroku zapadającego zmierzchu. Nie paliło się tam żadne światło i nadal panował absolutny spokój. Upewniłem się, że wszystkie drzwi są dobrze zamknięte, pozakładałem okiennice i pogasiłem wszystkie lampy. Wróciłem do Nicole i zapadłem w niespokojną drzemkę.

O północy obudził nas pojedynczy wystrzał od strony jeziora. Poderwaliśmy się na nogi, nasłuchując, lecz nie dotarły do nas żadne inne odgłosy. Ostrożnie wyjrzałem przez drzwi, bezskutecznie próbując przeniknąć wzrokiem ciemności. W tafli jeziora dostrzegłem jedynie odbicie gwiazd, które świeciły jak zawsze. Po tym incydencie przenieśliśmy się do sypialni na piętrze. Nicole ponownie zasnęła na moim ramieniu, lecz ja do świtu nie zmrużyłem oka, mimo że sztucer leżał w zasięgu ręki. Dzięki temu miałem czas na rozmyślenia, jednak poza prostą konstatacją, że sytuacja nie prędko wróci do normy, nie wymyśliłem nic szczególnie konstruktywnego. Wciąż nie potrafiłem znaleźć klucza do zrozumienia sensu zachodzących wydarzeń. Może nie miały żadnego sensu? Nadal miałem za mało elementów układanki, żeby złożyć pełen obraz epidemii. Czułem, że coś ważnego wymyka się mojej analizie.

Rankiem telewizor emitował już tylko szum. Nicole oświadczyła, że idzie wziąć prysznic, a ja postanowiłem spróbować nawiązać łączność ze światem przy pomocy krótkofalówki z helikoptera. Bycie dobrze poinformowanym i nie wypadanie z obiegu to jeden z fundamentów sukcesu. Siedziałem w kabinie ze słuchawkami na uszach i daremnie przeczesywałem kolejne częstotliwości. Miałem już zrezygnować, gdy udało mi się złapać sygnał:

– Frank Rickerbacker Jr III – zatrzeszczało. – Odbiór.

– Z tej strony Robert Discroll. Cieszę się, że cię słyszę.

– Ja również. Jak twoja sytuacja?

– Siedzę ze swoją dziewczyną w domku nad jeziorem Wanaksink.

– Jeśli macie środek transportu, to wpadajcie do nas. Jesteśmy tutaj w czterdzieści osób w podziemnym kompleksie przeciwtomowym, przeciwkataklizmowym i przeciwepidemiowym. – Informacja o schronie prawie wcale mnie nie zdziwiła. Nazwisko Rickerbacker było mi znane z okładek kolorowych czasopism. Był ekscentrycznym milionerem, który topił odziedziczoną fortunę w rozmaitych dziwnych projektach i od dawna wieszczył apokalipsę na skutek zmian klimatycznych. – Mamy jeszcze wolne miejsca. *All inclusive* – zdaje się, że mój rozmówca był na lekkim rauszu.

– Podasz mi swoją dokładną lokalizację?

Wyrecytował mi koordynaty, które od razu wprowadziłem do pokładowego GPS-a. Schron znajdował się na terenie Parku Adirondack, jakieś sto sześćdziesiąt mil na północ.

– Mam śmigłowiec, ale ze względu na odległość przylecieliśmy na oparach benzyny. Muszę przedyskutować temat ze swoją dziewczyną.

– Świetnie. Nie pozwólcie czekać na siebie zbyt długo.

– Do usłyszenia, Frank.

Nareszcie jakaś dobra wiadomość. Co prawda mieliśmy prowiant na kilka tygodni, a okolica wydawała się wyludniona, lecz oferta Franka z pewnością warta była rozważenia. Jak to zwykle bywa, miała swoje zalety i wady. Na plus można było policzyć bezpieczną miejscówkę, na minus – dużą grupę nieznanych ludzi.

Wysiadłem z helikoptera i zamarłem. Na ganku ktoś stał, a drzwi były otwarte. Nie mogłem sobie przypomnieć czy je zamykałem.

– Hej, kolego! Możesz się pokazać? – zawołałem, gdyż gość prezentował mi plecy.

Facet odwrócił się i rozpoznałem w nim dozorcę, opiekującego się po sezonie sąsiednią posesją. Ubrany był tylko w szorty i podkoszulek, spod którego wystawał pękaty bebron. Postąpił krok naprzód. Po kołyszącym się sposobie poruszania oraz warkocie dobywającym się z krtani poznałem, że mam do czynienia z łągęgą.

Jeśli posiadasz podstawową wiedzę jak postępować, rozprawienie się z pojedynczym łągęgą nie jest szczególnie trudne, a ja miałem już pewne doświadczenie.

Kiedy on wytrwale dreptał w moją stronę, wycofałem się do garażu i ze skrzynki narzędziowej wyjąłem łom. Zatluczenie stróża poszło mi całkiem sprawnie, chociaż trochę się zmachałem i cały ubrałem krwią.

Wbiegłem do domu.

– Nicole!

Drzwi do łazienki były uchylone i wydobywały się stamtąd olbrzymie ilości pary. Słyszałem szum odkręconej wody. Podeszedłem bliżej. Dziewczyny nie było w środku. Odkręcony prysznic zalał całe pomieszczenie.

– Nicole! Gdzie jesteś?

Wyszła z kuchni. Była mokra i naga. Jej ciało utraciło swój młodzieńczy powab. Skóra nabrała niezdrowej senej barwy, policzki zapadły się, a wzrok zmętniał. Wyszczrzyła do mnie ostre, białe zęby w parodii uśmiechu. Odwróciłem się i pobiegłem na piętro po sztucer. Kiedy wróciłem ze strzelbą, była już na schodach. Lubilem ją, nawet bardzo, lecz nie zawahałem się. Strzeliłem jej prosto między oczy.

Chryste! Jak do tego doszło? To przez tego przekłętego dozorcę, czy zaraziła się jeszcze od Conchity? Ugryzł mnie ten pierdolony pilot, spaliśmy ze sobą, może przeniosłem chorobę na siebie? Tylko dlaczego ona, a nie ja?

Nicole leżała u podnóża schodów w wielkiej kałuży krwi. Pocisk pozbawił ją połowy czaszki. Nie chciałem jej tak zostawiać, więc

przykryłem ją prześcieradłem. Dość długo wymiotowałem w toalecie. Kwadrans później kończyłem pakować plecak. Postanowiłem przyjąć propozycję Rickerbackera.

Silnik pracował równo i miarowo, a obroty śmigieł wytwarzały jednostajny, kojący szum. Za oknem przesuwiała się wstążka międzystanowej drogi numer osiemdziesiąt siedem. Widok przypominał pobojowisko po odwróceniu wielkiej armii. Czteropasmowa jezdnia była zawałona sznurami porzuconych pojazdów wszelkich typów, pomiędzy którymi leżały zwłoki. Jedyny przejaw życia stanowiły wędrujące ku nieznanemu celowi łązęgi. Nieodległe Albany spowijały dymy pożarów.

Ustawiłem radio na stałe przeczesywanie wszystkich częstotliwości, gdyż należy poszerzać własne horyzonty i zawsze szukać alternatywnych rozwiązań. Na jednym z kanałów usłyszałem gardłowe pomruki na tle kakofonii dźwięków, lecz okazało się, że była to piosenka Toma Waitsa z nadawanej przez automat playlisty.

W końcu moja cierpliwość została nagrodzona:

– Mówi komandor John Steward z marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, ostatni ocalały członek załogi atomowego okrętu podwodnego USS „Alabama”...

Natychmiast odpowiedziałem:

– Tu Robert Discroll, CEO korporacji Metabank – również postanowiłem przedstawić się pełną tytułaturą.

– ...stoję na kotwicy u wejścia do portu Nowego Jorku. Oblęd dopadł nas na pełnym morzu, na głębokości trzystu stóp. Wszyscy moi ludzie zginęli w bratobójczej walce...

– Komandorze, czy posiada pan łączność z innymi ocalałymi? Czy możemy sobie jakoś pomóc?

– ...na łodzi nie widzę oznak życia. Wszędzie tylko niezliczone łązęgi... – głos był pełen desperacji. – Może ktoś spożytkuje żywność, broń i lekarstwa zgromadzone na pokładzie. Podaję kod wejścia – wymienię

ciąg liter i cyfr. – Moja misja dobiegła końca. Niech Bóg błogosławi Amerykę!

– Proszę tego nie robić!

W odpowiedzi huknął strzał. Na kilka sekund zapadła cisza, po czym:

– Mówi komandor John Steward z marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych...

Zerwałem słuchawki. Dopiero teraz zrozumiałem, że odsłuchiwałem nagraną wiadomość, zapętloną i puszczaną w kółko od początku. Po raz pierwszy dopuściłem myśl, że być może ludzkość znalazła się na skraju zagłady. Jeśli zaraza penetrowała tak izolowane miejsca jak pokład samowystarczalnego okrętu podwodnego skrytego w głębinach oceanu i nawet ludzie pokroju komandora Stewarda załamywali się, to czy bunkier Rickerbackera był bezpiecznym miejscem?

Tknięty złym przeczuciem, jako że cel lotu był już niedaleko, zacząłem wywoływać Franka. Nie doczekałem się odpowiedzi. Zakląłem i ze złości szarpnąłem drążkiem sterowym, tak że śmigłowiec zakolysał się niebezpiecznie. Co teraz? Miałem za mało paliwa na powrót, lądowanie w przypadkowym miejscu też nie wydawało się dobrym pomysłem. Postanowiłem kontynuować lot.

Wejście do schronu skryte było pod koronami drzew, z których nie opadły jeszcze liście. Posadziłem maszynę na polanie pół mili dalej. Odnalazłem leśną drogę prowadzącą do azylu Rickerbackera, a na niej porzuconego pickupa ochrony. Przeszukałem wóz i uzupełniłem swój arsenał o karabinek półautomatyczny.

Schron zbudowany był pod ziemią, na powierzchni wystawał tylko grzybek maskujący wyloty przewodów wentylacyjnych i śluza wejściowa, przed którą kręciło się bezradnie dwóch łązęgów w uniformach ochroniarzy. Najwyraźniej próbowali dostać się do środka. Skosiłem ich serią z karabinu. Robiłem się dobry w te klocki.

Przy jednym z nich odnalazłem kartę magnetyczną, za pomocą której bez problemu odblokowałem hermetyczne wrota wykonane ze stopów opracowanych przez NASA. Mały panel przy wejściu wskazywał, że wszystkie systemy schronu są sprawne. Przeszedłem przez odpowiednią procedurę w komorze dekontaminacyjnej i przedostałem się do windy, która zawiozła mnie na poziom mieszkalny.

Na dole przywitały mnie migające świetlówki i głośna muzyka techno. Pod nogami chrzęściło potłuczone szkło. Dookoła wałały się puste butelki, których etykiетки informowały, że były to naprawę drogie trunki.

Wkrótce natknąłem się na pierwszego trupa, mężczyznę z przegryzionym gardłem i wylupionym okiem. Wyróżniał go złoty zegarek wart na oko kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Dalej znalazłem więcej ciał. Wyglądało na to, że ludzie i łążęgi stoczyli zażartą walkę. W niektórych wypadkach trudno było odróżnić jednych od drugich.

Schron był rozległy i składał się z wielu pomieszczeń, jednak moją uwagę przyciągnął nabazgrany na ścianie napis „Alamo” i strzałka wskazująca kierunek. Podążyłem tym tropem.

Przedemną zamajaczyły niewyraźne ludzkie sylwetki. Pomimo hałasu muzyki usłyszałem ich pomruk. Stroboskopowe światło sprawiało, że zdawali się poruszać w zwolnionym tempie. Sine twarze umazane ludzkimi wydzielinami, mieli na sobie strzępy zakrwawionych ubrań, z ust jednego wisiało pęto czyichś jelit. Przeładowałem broń. Zaatakowali bez żadnej finezji, po prostu próbując dopaść mnie w wąskim korytarzu. Zaciśnąłem palec na spuście. Hukowi wystrzałów towarzyszyło basowe buczenie techno. Starłem się nie postrzegać łążęg jako ludzi, lecz widzieć w nich zabójcze automaty lub hordę wrogich obcych. Mimo to z obrzydzenia i strachu wywraçał mi się żołądek.

W końcu w korytarzu ustał wszelki ruch. Gdy opadła adrenalina, w moje nozdrza uderzyła ostra woń kordytu zmieszana z metalicznym zapachem krwi. Przeszypując szczątki, na które wolałem nie patrzeć, dotarłem do pancernych drzwi, przypominających wejście do bankowego skarbcza. Miałem nadzieję, że nie przybyłem za późno.

Pomachałem do oka kamery. Po chwili z cichym bzyczeniem elektrycznych silników zakręciły się potężne kołowroty i poruszyły zawiasy, lekko i bezszelestnie, jakby to były drzwiczki domku dla lalek, a nie wielotonowa masa hartowanej stali. Wewnątrz znalazłem czworo ocalałych: dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Siedzieli na podłodze i, szczerze mówiąc, nie wyglądali wiele lepiej od łążęgów. Jedna z kobiet była w samej bieliźnie, sweter jednego z mężczyzn przyozdobił abstrakcyjny kolaż z wymiocin, w drżącej dłoni trzymał rewolwer.

– Już po wszystkim. Lepiej proszę mi to oddać – powiedziałem, wyciągając do niego rękę.

– Została nam ostatnia kula – podał mi broń, którą zatknąłem za pasek.

– Ty musisz być Robert – odezwał się pulchny blondyn, w którym rozpoznałem twarz milionera z okładek. – Dzięki Bogu, że zdążyłeś.

– W tym sejfie przetrwalibyście dość długo. Nie są zbyt inteligentni.

– Nie bez jedzenia i wody – powiedziała młoda, krótko ostrzyżona dziewczyna. Wstała i chciała podejść do wyjścia.

– Nie tak prędko – skinąłem na nią lufą karabinu. – Wracaj na miejsce.

Zamurowało ich. Nie tego spodziewali się po swoim wybawcy.

– Co to ma znaczyć? – spytał facet w poplamionym swetrze.

– Kwarantanna.

– Nie możesz... Protestuję! Jestem kongresmanem Stanów Zjednoczonych. To przestępstwo i zamach na nasze podstawowe prawa...

– To już nic nie znaczy – przerwałem mu w pół słowa. – Zresztą siła argumentów jest raczej po mojej stronie.

Rickerbacker zaczął się śmiać.

– Jak długo chcesz nas trzymać pod kluczem? – spytała spokojnie kobieta w bieliźnie. Siedziała z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Może była pruderyjna, a może po prostu zmarzła.

– Aż zyskam pewność, że nie ogarnie was szaf jak tamtych biedaków – zrobiłem nieokreślony ruch ręką w stronę korytarza – i zrozumieć co się tutaj dzieje. Dlatego pozytywnie wykorzystamy ten czas. Każde z was opowie mi o sobie wszystko: pochodzenie, przebyte choroby, dieta, tryb życia, zawód, upodobania i tak dalej. Muszę znaleźć wspólny mianownik, który czyni nas – czy wszystkich, pomyślałem, to się jeszcze okaże – odpornymi na zarazę.

Kilka dni później...

Opony pickupa zachrząściły na żwirowym poboczu. Odbezpieczyłem sztucer, a Sue, moja nowa dziewczyna – ta z krótkimi włosami – wyjęła zza paska pistolet. Wsiadliśmy, wykorzystując skrzydła drzwi jako osłonę.

– Stać! – zawołałem w stronę dwóch mężczyzn idących opustoszałą szosą.

Zatrzymali się posłusznie.

– Nie jesteśmy łaźęgami – oświadczył jeden z nich. Mieli na sobie dreluchy z logo jakiejś firmy. Byli brudni i nieogoleni, ogólnie wyglądali dość żałośnie.

– Coście za jedni?

– Jesteśmy pracownikami firmy kurierskiej. Kiedy wszystko się zaczęło, byliśmy w trasie po środku wielkiego nigdzie. Próbuujemy dostać się do domu.

– W porządku. Podejdźcie bliżej, ale rączki trzymajcie cały czas w górze.

Kiedy byli o kilka stóp od nas, wystrzeliliśmy z Sue niemal jednocześnie. Ciała wrzuciliśmy do rowu. Spojrzałem na zegarek. Reko-

nesans dobiegał końca. Wsiadliśmy do auta.

– Jesteś pewien, że to było konieczne? – spytała Sue, kiedy wracaliśmy do azyłu. – Może należało dać im szansę?

Spojrzałem na nią z politowaniem. Skrupuły i wyrzuty sumienia nie są cechami pożądanymi u lidera na trudne czasy. Na szczęście w naszej mikro społeczności to ja byłem przywódcą.

– Pomyśl sama, Sue. Korporacyjny boss, prawniczka, milioner, kongresmen, profesorka z uniwersytetu – wymieniłem aktualnych mieszkańców bunkra. – Przyznasz, że kurierzy nie pasują do tego szablonu? Prawdopodobieństwo ich przemiany w bezrozumne monstra graniczyło z pewnością.

– Ale dlaczego? Dlaczego tak się dzieje?

– Myślę, że to jakaś ogólnoświatowa psychoza. Zabójcza kumulacja negatywnych emocji i frustracji. Nasz system społeczny po prostu się zresetował. – Szczegółowe przesłuchania, które przeprowadziłem w czasie kwartantany dostarczyły mi brakujących elementów układanki.

– Sądziś, że znajdzie się na to jakieś lekarstwo?

– Jestem o tym przekonany. – Ten kraj zbudowano na optymizmie oraz ufności we własne siły.

– Podziwiam twoje opanowanie – oparła głowę na moim ramieniu.

Nie oszukiwałem jej. Naprawdę byłem spokojny o naszą przyszłość. Wierzyłem, że paliwo nienawiści, przemocy oraz gniewu wyczerpie się samo, ludziom wrócą zdrowe zmysły i za jakiś czas ze zgłiszcz wyłoni się nowy porządek i nowa równowaga społeczna. Co jeśli jednak się myliłem i stan łażęg był nieodwracalny? Cóż, nadal byłem optymistą. W końcu stanowiliśmy elitę, zbiór najlepszych cór i synów Ameryki. Z pewnością jakoś sobie poradzimy, chociaż z początku może być trochę ciężko bez naszych asystentów, pokojówek, fryzjerów, szoferów... ■

EUROCON



BARCELONA 2016

Never been to a EUROCON?

Eurocon is the pan-European SF convention which moves from country to country each year, teamed up each time with a country's national SF convention. (The common language of Eurocon is always English.) A bit like Eurovision without the songs! With SF fans from all over Europe.

Try beautiful **Barcelona** in **2016!!!**

4, 5 & 6 November, when the weather will be pleasant. This will be the first Eurocon to be held in Spain!

Right in the heart of the city next to the Ramblas and the historic Gothic Quarter.



Much more info, and Join by Paypal, at
www.eurocon2016.org

Facebook: [eurocon2016bcn](https://www.facebook.com/eurocon2016bcn)
Email: info@eurocon2016.org

Chichotek

Jacek Wróbel

Kiedy on palił papierosa przed domem, sanitariusze pakowali ciała do worków.

Aspirant Wysocki odniósł absurdalne wrażenie, że znalazł się w sytuacji, którą nie wypada skomentować inaczej, jak tylko wysługując się filmowym cytatem. Zastanawiał się nad: „Piętnaście lat robię w tej branży i czegoś takiego jeszcze nie widziałem” albo: „Cholera, a w przyszłym tygodniu miałem przejść na emeryturę”. Niestety, po pierwsze: w wydziale zabójstw pracował dopiero trzeci rok, a po drugie: perspektywa szybkiej emerytury wydawała się równie realna, co mityczny garniec złota na końcu tęczy. Zamiast udawać Humphreya Bogarta, przyglądał się więc zabiegom lekarzy w ponurym milczeniu.

– Pojebany skurwysyn... Jak on to zrobił? – zapytał Gruchę, partnera nieznacznie starszego stażem i bezsprzecznie większego brzuchem, gdy mężczyzna wynurzył się zza drzwi.

Grucha, jakby żywcem przeniesiony z planu amerykańskiego serialu o gliniarzach i pączkach, sprawiał wrażenie stęsknionego za biurkiem i nudną papierkową robotą.

– Uduślił je – chrząknął bez przekonania. – Torby na głowie odcięły dopływ powietrza.

Coraz mocniej utwierdzał się w przeświadczeniu, że z iloma trupami by się jeszcze nie zetknął, nigdy nie przyzwyczaił się do widoku śmierci. W gruncie rzeczy to nawet pocieszające. Bardzo ludzkie.

Wysocki wymownie spojrzął na wynoszone z mieszkania nosze, trzecie z kolei. Na zewnątrz zrobiło się jakoś chłodniej.

W czarnej folii spoczywały zwłoki najstarszej ofiary, dziewięcioletniego chłopca.

Adrian bał się kilku rzeczy. A dokładnie dużych pajaków, pana Zygmunta i jego psa Wilczura, piwnicy babci, krzyku taty, kiedy wracał późno do domu, zielonego smoka z dobranocki i burzy. Ale te strachy były niczym w porównaniu z innym.

Najbardziej bał się diabła.

– Babciu. – Maluch uczeplił się nogi staruszki i spoglądał na nią pełen nadziei. – Opoowiedź nam. Prosiiiiimy.

– Płosimy – dodała jego młodsza siostrzyczka, ciągnąc babcię za spódnicę. – Cemy pośluchać.

Śnieg za oknem i lekko zawodzący wietrzyk nastrojał na opowieści. A na dodatek drewniany domek, piec kaflowy w sieni, kubki z ciepłą herbatą... Sceneria wprost stworzona do tego, by uciec w świat wyobraźni... Rodzeństwo w walce o upragniony cel nie zawahało się użyć najgroźniejszej broni – szklistych oczu i szczerych, ujmujących uśmiechów.

Staruszka westchnęła przeciągle i kościstymi palcami zmierzwiła włosy urwisów.

– Mama powiedziała, że mam więcej nie opowiadać tych historii. Potem śnię wam się koszmary.

– Niiiee, nieprawda! – Mamusia kłamie!

– Kłamie, kłamie. – Anetka zaklaskała w dłonie. Potwierdziłaby słowa brata, nawet gdyby uroczyście ogłosił, że zeszej nocy

odwiedził ich Alladyn i podmienił dywan z przedpokoju na jego latającą wersję. – Cemy pośłuchać.

Choć wydawało się to niemożliwe, obie pary oczu zaszklily się z nową mocą, a uśmiechy stały się bardziej ujmujące.

– Już dobrze. – Kobieta poległa pod zmasowanym atakiem czułości. Może i kiedyś wiedziała, czym jest asertywność, ale z biegiem lat zdążyła pokryć to pojęcie siatką zmarszczek. – Opowiem. Ale może tym razem historię o starej karczynie, któ...

– Nieee! O diable!

Adrian, mimo że miał dopiero dziewięć lat, dobrze poznał zasadę, jaka nie przestawała obowiązywać z momentem wejścia w dorosłość.

Strach i fascynacja to dwie strony tej samej monety.

Leżeli obok siebie w starym, dębowym łóżku: malutki Adrian, jeszcze mniejsza Anetka i korpulentna babcia. Wiatr za oknem zawodził posępnie, zamieniając wieczorne podrygi płatków śniegu w mordercze pasodoble. Z prawej strony pościeli dobiegał urywany, świszczący oddech. Staruszka przemierzała krainę snów, otulona puchatą kołdrą i mglistymi wspomnieniami przeszłości. Dzieci, jak to dzieci, wymknęły się zręcznie z objęć nocy, by pod zasłoną ciemności prowadzić zażartą dyskusję o prawach rządzących światem.

– Boiś się diabła? – zapytała Anetka, podciągając kołdrę prawie pod czubek głowy.

– Jasne, że nie – skłamał Adrian. – To tylko bajka. Diabły nie istnieją, tak mówi mama.

– Yhym. – Dziewczynka nie wyglądała na przekonaną. – To kto nosi ten wolek z zabawkami? Wolek jest prawdziwy, cio?

– Worek z zabawkami nosi święty Mikołaj – odpowiedział dziewięciolatek, zadowolony, że może przybliżyć siostrze kilka życiowych prawd. – Odwiedza dzieci w grudniu, ma latające sanie, zaczarowane renifery, brodę większą od tej, jaką miał dziadek Stefan. Pamiętasz dziadka?

Anetka przytaknęła bezwiednie, wpatrzona w Adriana jak w obrazek.

– ... czerwony kozuch i czapkę z pompomem. I właśnie worek z prezentami. Ostatnio znalazłaś pod choinką lalkę, nie? Ja dostałem Batmana – podkreślił głośniej, żeby siostra nie miała wątpliwości, kto stoi wyżej w Mikołajowej hierarchii. – Mikołaj jest prawdziwy. Diabeł nie.

Dokładnie w momencie, w którym zakończył, ktoś zastukał w okno.

Stuk stuk. Wystarczająco głośno, by zwrócić uwagę, ale też na tyle taktownie, by gość za szybą nie został posądzony o zbytnią nachalność.

Maluchy nie oszukiwały się, że to wiatr wygiął gałęzie drzewa, aż te nachyliły się i pozdrowiły ich dwoma uderzeniami. Wersji z płatającą figle wyobraźnią w ogóle nie brały pod uwagę.

Adrian i Anetka wiedzieli, że ktoś stoi na zewnątrz i puka w okno, zachęcając ich do podejścia.

Stuk stuk. Znowu.

Babcia w dalszym ciągu smacznie spała, nic sobie nie robiąc z nocnej wizyty. Rodzeństwo wtuliło się w siebie, niemal stykając się czołami. Bliskość dodawała odwagi, a za nią podążała ciekawość.

– To diabeł – wyszeptwała Anetka.

– Nie bądź głupia – odpowiedział jeszcze ciszej, choć w głębi ducha zgadzał się z siostrą. – Mówiłem ci, że...

Nie dokończył, bo przez zawieruchę przebiły się słowa.

Hej kochani, hejże, gdzie wasze uśmiechy?

Moc zabawy czeka, masa tu uciechy

Ptaszek na patyku i cukrowy kotek

Takie skarby niesie wesoły Chichotek!

Wierszyk recytowany był w zaraźliwie pogodny sposób, jakby ktoś, kto go wygłaszał, spędzał właśnie najprzyjemniejsze chwile swojego życia – na przekór mrozowi i szalejącej na dworze śnieżycy.

*Komu dać piletzkę, a komu konika?
Smutek przy Chichotku zaraz prędko znika
Tu pluszowe misie, tam balonik leci
Wyszczzerzone twarze i śmiech małych dzieci.*

Adrianowi wydawało się, że usłyszał raczej „szloch małych dzieci”, ale może to przez ten wiatr... A „wyszczzerzone twarze”... Nie było w tym nic radosnego. Nic a nic.

Nie spostrzegł, kiedy Anetka wyswobodziła się z jego uścisku. Teraz na paluszkach skradała się w stronę okna. W ciemności dostrzegał jedynie zarys małej sylwetki.

– Gdzie idziesz? Wracaj! – syknął. Chciał wstać i ruszyć za nią, zaciągnąć siostrę z powrotem do łóżka, ale perspektywa opuszczenia bezpiecznej przystani napawała przerażeniem.

– Tylko zobace konika...

Z dworu dobiegły dźwięki melodyjki. Di dam di di dam. Di dam di di dam.

Adrianowi przypomniało się, jak był z rodzicami nad morzem i podczas spaceru na molo spotkali starszego pana w eleganckim kapelusiku, który stał za kolorową, dużą skrzynią z mnóstwem różnych piszczałek. Mama dała mu monetę i kazała wrzucić do stojącego na ziemi kubeczka. Gdy to zrobił, pan uklonił się i uśmiechnął wesoło, a potem zaczął kręcić korbką przymocowaną do pudła. Zagrała muzyka. Pamiętał, że otworzył szeroko buzię i stał bez ruchu, jak zaczarowany wsłuchując się w dźwięki płynące z magicznej skrzyni.

Teraz było podobnie, z tą różnicą, że wtedy nie umierał ze strachu.

– Konik, konik, zobace konika... Moze to Mikołaj psysedł...

Anetka stała już przy oknie i przyciskała puciołowatą twarz do szyby.

– Wracaj, wracaj, wracaj... – Z oczu popłynęły mu łzy.

– O, ile tu jest dzieci! – Dziewczynka oparła się o parapet i kilka razy podskoczyła w miejscu, by lepiej widzieć. Pomachała im rączką.

*Chodź do nas na chwilkę, konik się ucieszy
Gdy dasz mu marchewkę, pewnie cię rozśmiesz.*

Jakaś tajemnicza siła sprawiła, że w głowie Adriana końcowy wers zabrzmiał całkiem inaczej.

Wgryzie ci się w serce, potem wybebeszy.

– Wracaj, wracaj, wracaj... – Zacisnęła palce na kołdrze. Babcia obróciła się na drugi bok. Łóżko zaskrzypiało. Ledwo powstrzymał krzyk.

Di dam di di dam...

Zamknął oczy i zakrył twarz poduszką.

Delikatne szarpnięcie klamki.

– Konik! Konik!

Di dam di di dam...

Podeksycytowane głosy. Śmiechy. Adrian może i miał tylko dziewięć lat, ale potrafił rozpoznać, jak śmieją się dzieci, którym wcale nie jest wesoło. Które śmieją się, bo muszą. Bo ktoś im kazał.

Anetka miała cztery lata. Nie wiedziała jeszcze o wielu sprawach.

– Ceś! Cio lobicie?

Szmary. Wymuszony chichot.

– Cio ci się stało z nóżką? Cy to boli?

Di dam di di dam... Di dam di di dam...

– To ty, Mikołaju? Cemu mas taką dziwną cap...

WAAAARGH DI DAM DI DI DAM! DI DAM DI DI DAM!

Zwierzęcy warkot został zagłuszony przez głośny, fałszywy dźwięk instrumentu. Potem było mlaskanie, paskudne, okropne mlaskanie, jakby ktoś włożył

DO PASZCZY

do ust ogromny kawał mięsa i miał kłopoty z przeżuciem wszystkiego naraz.

Adrian zsiąkał się w spodnie.

Muzyka przestała grać równie niespodziewanie. Zapanowała głucha cisza. Chłopiec

starał się nie oddychać; dygotał ze strachu i z całej siły zaciskał powieki, byle tylko przypadkiem nie zobaczyć bestii, która wydała z siebie ten piekielny odgłos.

Po minucie, dwóch albo dziesięciu, mimo warstwy grubego pierza, wśród nieprzeniknionej ciemności, przyduszany zapachem moczu, usłyszał nienaturalny, skrzekliwy głos siostry.

– Chichotek ma dwa wolki. Dwa wolki! Jeden na prezenty, a długi na dzieci, hi hi!

Zawtórował jej piskliwy zaśpiew.

*I co, głupi smyku, odebrało mowę?
Kiedyś też ci rzucę ten worek na głowę!*

Przesycony szaleństwem śmiech, towarzyszący pokracznemu wierszykowi, nawiedzał go w snach jeszcze przez wiele miesięcy. Musiało minąć kilka długich lat, by wspomnienie tej listopadowej nocy – nocy, w której zniknęła jego siostra – rozwiało się w końcu jak każdy dziecięcy koszmar.

Śnieg przysypał ślady kopyt znacznie szybciej.

Obudziło go szturchanie w ramię. Burknął coś pod nosem i odwrócił się do ściany, podciągając kołdrę aż po czubek nosa. Nie zraziło to napastnika; potrząsnął nim ponownie, tyle że mocniej. Subtelna taktyka obronna typu „Jeśli czegoś chcesz, chciej to później”, w tym przypadku okazała się nieskuteczna.

Przetarł sklezione oczy i odruchowo sięgnął po butelkę wody mineralnej, którą wczoraj w przeblysku zapobiegawczego geniuszu postawił obok łóżka. Starał się zignorować nieprzyjemny szum w uszach. Pociągnął kilka solidnych łyków. Razem z nim do życia budził się kac.

– Cześć, Marcin jestem.

Oderwał się od ustnika i skierował wzrok na swojego oprawcę.

– Adrian – przedstawił się, wyciągając wolną rękę.

– W tym roku będę twoim współlokatorem. – Chłopak odwzajemnił uścisk. – Spoko, nie?

– Yhym...

Marcin, według Adriana, wyglądał na leszcza. Miał długie, związane w kucyk włosy, okulary w drucianej oprawce i ubierał się jak pracownik taniej firmy remontowej: nosił czerwoną flanelową koszulę w kratę i znoszone bojówki. Obie rzeczy nie tyle domagały się prania, co wręcz krzyczały o odrobinę wody i proszku.

No i obudził go przed dwunastą. Już samo to wystarczało, by ktoś trafił na jego listę wrogów numer jeden.

– Balowało się? – Uśmiechnął się krzywo Marcin. – Portierka powiedziała, że w nocy odstawiście tu drugą Hiroszimę.

– Taa... Przez jakiś czas trzeba będzie chyba korzystać z kibli na niższych piętrach. Wiesz co, fajnie się gadało, ale chciałbym jeszcze trochę...

Przerwał mu charakterystyczny syk otwieranego piwa. Po chwili Marcin wepchnął mu w dłoń schłodzoną puszkę.

– Trzymaj. Lecz się tym, czym się struleś. – Sięgnął po drugiego browara, tym razem dla siebie.

– W sumie to właśnie miałem zamiar wstać. Dzięki.

Marcin wyglądał na leszcza, ale przecież człowiek zawsze może się mylić, prawda?

– Co to będzie? – Adrian opierał się o biurko i ciekawsko przekrzywił głowę, przyglądając się pracującemu koledze. – Coś w stylu tego nowoczesnego badziewia, czarny kwadrat na białym tle?

– Daj spokój, stary. Jestem tradycjonalistą – odpowiedział Marcin, nie odrywając oczu od sztalugi. – Obraz to ma być obraz, a nie jakaś wariacja postmodernistów. Nie cierpię dodawania ideologii do kleksów stawianych

na chybił-trafił. Tylko ciii, bo jak dojdzie to do uczelni, wywałą mnie na zbity pysk. – Podważam dorobek wielu uznanych malarzy.

– Więc nad czym pracujesz? Co to będzie?

– Adrian przybrał patetyczny ton. – Klucz żurawi przelatujący nad polem pszenżyta? Dziecię żegnające w oknie kochanego ojca, którego porwał zew wojny? Słoneczniki mieniące się tysiąca...

– Jezu, daj spokój! – Kumpel parsknął. – Znasz Beksińskiego?

– Taa.

– Więc coś w jego stylu – odparł lakonicznie.

– Zabrzmiało tak, jakbyś nie wiedział dokładnie, co malujesz albo po prostu nie chciał mi powiedzieć.

Marcin westchnął i wytarł pędzel w szmatkę.

– Z tym obrazem mam pewien problem. Nie wierzę w natchnienie, muzę czy jakkolwiek zwać bodziec, który popycha nas do twórczego działania. Wszystko to kwestia spięcia dupy, a później żmudnej pracy. Jeszcze wczoraj chciałem odwalić chałturę i maznać obojętnie co, byle dostać tróję. Ale... Ten obraz mi się przyśnił, chłopie. Rozumiesz? Jeszcze nigdy nie widziałem niczego tak wyraźnego; mam przed oczami dokładnie ukończone dzieło, muszę je tylko przenieść na płótno. To podstawowa, pierwotna potrzeba. Potrzeba uzewnętrznienia kolorów i kształtów żyjących w duszy artysty, odbicia ich przez kalkę umysłu za pomocą prymitywnego narzędzia, jakim jest ludzka ręka.

– Wow! Masz jeszcze ten towar? – Adrian wybuchnął śmiechem. – Dobra faza.

– Spierdalaj.

– Daj spokój, żartowałem. Możesz mi zdradzić, co też takiego ci się przyśniło, że zaprzęgło twe leniwe dupsko do roboty?

Marcin uśmiechnął się i zamarł bez ruchu przed niemal dziewiczym płótnem, wpatrując się w nie tak intensywnie, jakby samą siłą woli chciał przenieść nań fantasmagorie zamknięte wewnątrz jego czaszki.

– Diabeł. Przyśnił mi się diabeł, człowieku. Adrian instynktownie drgnął. Cholera, sam nie wiedział dlaczego.

– Piwka?

Kusząco pomachał butelką przed twarzą kumpla.

– Nie, nie, daj mi spokój. – Marcin odpechnął rękę, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. – Pracuję.

– Widzę. Od tygodnia nie robisz nic innego, tylko przesiadujesz przed tym obrazem. Zrób sobie przerwę. Jesteś błądy jak ściana. Ty w ogóle sypiasz?

Nie doczekał się odpowiedzi. Współlokator malował jak pogrążony w transie, nie namyślając się długo nad kolejnymi pociągnięciami pędzla. Po prostu prowadził go tak płynnie, że zdawać by się mogło, że steruje nim jakiś wewnętrzny program.

Obserwowanie kolegi przy pracy fascynowało Adriana tylko przez jeden dzień. Drugiego zaczął się martwić a trzeciego przestał, bo najzwyczajniej w świecie to olał. Artyści są dziwni, to rzecz wiadoma.

Obudził się w środku nocy, zlany potem. Jeszcze przez chwilę wspomnienie koszmaru pukało do wnętrza jego głowy, niosąc za sobą obrazy przepełnione chłodem, zapachem moczu i

WIERSZYKI CHICHOTEK MÓWIŁ
WIERSZYKI

zbitkami absurdałnych słów, których znaczenie, choć wymykało się ludzkiemu pojęciu, mroziło do szpiku kości. Adrian przetarł oczy, a szczegóły odeszły w niepamięć. Zostało tylko irracjonalne poczucie grozy.

Zapałił lampkę. Z satysfakcją stwierdził, że Marcin jednak sypia. Szkoda tylko, że na krześle.

Dźwignął się z posłania. Już miał zamiar klepnąć kolegę w ramię i posłać do łóżka, gdy dostrzegł wyłaniający się z półmroku kształt sztalugi.

Kumpel stał się ostatnio bardzo tajemniczy. Już mniejsza o to, że jego życie towarzyskie konało w męczarniach, odkąd zabrał się za obraz – może na czas sesji każdy student powinien wziąć z niego przykład? – ale choćby fakt, że od jakiegoś czasu pracował przodem do drzwi, by nikt w akademiku nie mógł zerknąć mu przez ramię, był dosyć niepokojący. W dodatku kiedy robił przerwę, narzucał na płótno materiały i grobowym głosem ogłaszał, by „nikt tego, kurwa, nie ruszał”. I nie ruszali, tak na wszelki wypadek.

Adrian ogólnie miał to w nosie. Gość nie chciał niczego ujawniać – jego sprawa. Ale teraz trafiła się okazja, a okazja pociąga za sobą ciekawość...

Tylko rzucę okiem, tłumaczył sam sobie, podchodząc do obrazu.

Pociągnął za płachtę i niemal od razu zasłonił usta, by słumieć narastający w gardle krzyk. Patrząc na to, co wyłoniło się spod utalentowanych dłoni Marcina (wyłoniło się za szybko, stanowczo za szybko, jak on to zrobił?!), miał wrażenie, że przebudziła się uśpiona cząstka jego duszy – ta, o której istnieniu na zawsze chciałby zapomnieć.

Malunek faktycznie przypominał mroczne, tajemnicze prace Beksińskiego. Za tło historii służyły spróchniałe chaty i drzewa pozbawione liści, chylące się ku ziemi z powodu toczącego ich rozpadu. Pomiędzy płataniną szerniałych konarów i porozbijanych okien można było dostrzec groteskowo wyszczerzone twarze oraz dłonie, chciwie kierujące się w stronę pochodu dzieci, które przemierzały te ponure rejony.

Kilkanaście dziecięcych postaci w różnym wieku, zarówno dziewcząt, jak i chłopców, uwieczniono w podobnych pozach: każda z nich podskakiwała w nienaturalny sposób, uczestnicząc w jakiejś obłąkańczej zaba-

wie. Maluchy trzymały w dłoniach zabawki: misia, wiatraczek z różnobarwnymi skrzydełkami albo drewniany wagonik.

Wszystkie, bez wyjątku, były śmiertelnie przestraszone.

Artysta z nieprawdopodobną wręcz starannością oddał malującą się na ich twarzach twrogę, którą nieudolnie starały się maskować. Każdy oglądający obraz nie miałby problemu z opisaniem rzeczywistych emocji, na jakie maluchy nałożyły wyszczerzone w pozorach radości uśmiechy.

Chłopiec w czerwonym kubraczku, ten dosiadający kija z głową konika, wytrzeszcza obłąkańczo oczy. Oto bierze udział w czymś, co wymyka się ramom zdrowego rozsądku, czymś, co doprowadziłoby dorosłego człowieka na skraj szaleństwa, jednak w świecie rycerzy na drewnianych rumakach ma przerażającą rację bytu.

Mała dziewczynka, drepcząca gdzieś pośrodku pochodu, nie jest jeszcze na tyle duża, by móc samodzielnie chodzić, ale już poznała prawdziwe oblicze strachu. Rozciąga usta w szalonym grymasie zadowolenia, stanowczo zbyt szerokim, by mógł być efektem pracy ludzkich mięśni. Z kątek jej oczu płyną łzy i Adrian instynktownie wie, że są one tutaj jedyną naturalną rzeczą.

Blondynek o aparycji cherubinka drży w spazmach przerażenia. Nie może krzyczeć, bo jego usta wypełnia wata cukrowa. Patrząc na tę postać wie się, po prostu skądś się wie, że dzieciak, gdyby tylko mógł, z własnej woli zadławiłby się smakołykiem, wepchnął go sobie głęboko w gardło, dopóki horyzontu nie przesłoniłaby plama czarni, a on nie padłby bez życia na ziemię. Wszystko, byle nie brać udziału w bluźnierczej paradzie. Zrobiliby tak, ale nie może.

Jego kończyny spowijają cienkie, niemal przezroczyste nici, które na obrazie dostrzec można dopiero wtedy, gdy lekko mruży się oczy. Tajemnicze włókna krępują wszystkie dzieci, całą gromadę nieszczęśników, czyniąc



z nich marionetki z teatrzyku lalek, zmuszając do śmiechu, skoków i tańca.

Na czele korowodu kroczy diabeł – pokryta zmierzwionym włosiem bestia o głowie kozła, biblijny archetyp upadłego anioła. Nici trzymające dzieci na uwężni umocowane są na szponiastej łapie, a ta subtelnyymi ruchami palców wygrywa niesłyszalny rytm.

Rytm mrocznego marszu.

Pokraczne diabelstwo nosi przewieszzone przez plecy worki: w jednym trzyma zabawki, drugi wypełniony jest ludzkimi narządami. Malarz tak ciekawie oddał perspektywę,

że ma się wrażenie swoistego przenikania płaszczyzn: odcięte głowy i kończyny mieszają się ze szmacianymi lalkami i figurkami żołnierzyków, bądź też wylaniają się niespodziewanie z miejsca, gdzie jeszcze chwilę temu widziałeś opakowane w sreberko łakocie.

Adrian poczuł na nodze lodowaty uścisk dłoni. Chciał wydrzeć się w niebogłosy, ale język uwiązał mu w gardle.

– On ma dwa wolki, widzis? – Nienaturalnie piskliwy głos Marcina wwiercił mu się w czaszkę. – I idzie po ciebie, blacisku.

Strach pożarł mu resztkę świadomości. Osunął się nieprzytomny na podłogę.

Poczuł mocne klepięcie w policzki, raz z jednej, raz z drugiej strony. Chwilę potem jego

twarz zrosił strumień zimnej wody.

– Jednak żyjesz. – Marcin rzucił w kąt pustą szklankę. – Szkoda. W przypadku śmierci kolegi pozostałym mieszkańcom pokoju odraczają egzaminy. Tak słyszałem, chociaż może to być jakieś *urban story*.

Próbował wstać, ale jego głowa zaczęła pulsować nieznośnym bólem. Opadł z powrotem na ziemię. Dotknął czoła. Pod palcami wyczuł zaschniętą plamę krwi.

– Co się stało?

Marcin skierował wymowne spojrzenie na walające się po podłodze ciuchy.

– Zgaduję, że potknąłeś się o te swoje szmaty w drodze do kibla i przywaliłeś łbem w kant biurka. Niezbyt się wyspałeś, co? No, zbieraj się. – Pomógł mu się podnieść. – Nie ma trupa, więc zostaje sesja do zaliczenia.

Adrian powoli pokuśtykał w stronę łóżka. Jedyne, co pamiętał z wczorajszej nocy, to ból i nakładające się na siebie chaotyczne obrazy, obrazy pozbawione ładu i sensu. Zastanawiał się, czy nie dostał wstrząsu mózgu.

Miał zamiar iść do lekarza, ale ostatecznie to olał.

Leżał w łóżku i wpatrywał się w sufit. *Metałowe elementy sprężyste* Branowskiego służyły mu za poduszkę – wychodził ze starego założenia, że najlepszą metodą transferu wiedzy stanowi bezpośrednia styczność książki z głową. Rozmyślał o wszystkim po trochu (poza metalowymi elementami sprężystymi) i powoli zbliżał się do granicy, na której kontemplacja otoczenia oraz refleksje na temat życia i śmierci przechodzą w nieplanowaną drzemkę.

Przyzwyczał się do zapachu farby, jaki od kilku tygodni roztałcał się po pokoju. Więcej – polubił go. Ponadto zawsze miał dobrą wymówkę w razie niezaliczenia egzaminu: „To wszystko przez współlokatora, rozumie pan profesor, ciągle maluje i wszędzie czuć te chemikalia, człowiek chciałby się pouczyć, ale jak tu się skupić...”

Przyzwyczał się do zapachu farby oraz do czegoś jeszcze. Do delikatnych dźwięków włosia ocierającego się o płótno. Do stukotu przesuwanych farb. Do cichych pomruków Marcina, którymi nieświadomie komentował postęp w pracy.

Do całokształtu procesu twórczego.

Nie mógł zasnąć, wciąż wpatrzony w sufit, bo czegoś mu brakowało. Od dłuższego czasu nie słyszał nic poza swoim oddechem.

Przemógł senność i ospale uniósł głowę. Marcin nie malował. Siedział przed obrazem

i czule obejmował go rękami.

Dziwak.

– Skończyłem, człowieku – wychrypiał. Miał straszliwie wysuszony głos, jakby nie pił od kilku dni. – Skończyłem. Chcesz zobaczyć? – zapytał niespodziewanie. On, który bronił dostępu do obrazu jak życia własnej matki. – Jest cudowny.

Nie chciał przyznać się otwarcie przed kumpłem, że zżerała go ciekawość.

– Taa, czemu nie.

Wstał z łóżka i podszedł do sztalugi. Marcin rzucił mu osobliwy uśmiezek, przepełniony niezdrową fascynacją i ledwo wyczuwalną nutą złośliwości.

Diabelski pochód zaprezentował się przed Adrianem w pełnej krasie. Nie mógł o tym pamiętać, ale od momentu, kiedy ostatnio go widział, obraz wzbogacił się o kilka szczegółów.

– Brrr, aż ciarki przechodzą. – Wszystko wygląda dokładnie tak, jak powinno.

– Czym to właściwie jest? Ta procesja. Chyba gdzieś o tym słyszałem... Z tyłu głowy coś mi się kołacze. Jakaś bajka albo legenda...

– To dosłowna interpretacja starego, niemal zapomnianego podania o diable porywającym dzieci. Taki straszak minionych pokoleń, żeby trzymać bachory w ryzach. Nieźle musiało im to ryc banię, nie? Dzisiaj, w czasach wygładzonych bajeczek, pewnie samo opowiadanie tej historii podpada pod jakiś paragraf o psychicznej przemocy. – Wskazał postać diabła. – On ma dwa wolki, widzisz? W jednym trzyma mnóstwo zabawek, którymi kusi dzie...

Adrian zbladł; złapał go za rękę.

– Co ty powiedziałeś? Co on ma?

– Puść mnie, człowieku! – Strącił dłoń kolegi. – Że ma dwa worki, głuchy jesteś?

– Sorry, coś mi się przesłyszało... Teraz pamiętam, że w dzieciństwie nasłuchiwałem się sporo podobnych opowieści od babci. O strachach i w ogóle. Rodzicie zostawiali nas u niej

w weekendy albo na święta... – Zaczęła boleć go głowa. Pomasaował skronie. – ...i bardzo lubiliśmy... słuchać... tej o diable...

– Wy? Nie mówileś, że masz rodzeństwo.

– Miałem siostrę. Którejś nocy babcia jej nie upilnowała i Anetka wyszła z domu. Prawdopodobnie załamał się pod nią łód na rzece.

– Mhmm... – burknął Marcin, jakby właśnie usłyszał jakąś nieistotną błahostkę. – Lipa.

– Wracam do nauki. Na bank zaliczysz na pięć. Może uda ci się to nawet sprzedać.

Marcin pogładził krawędzie obrazu i dźwignął się z krzesła.

– Muszę wyjść. Przewietrzyć się.

Do uszu Adriana doszedł melodyjny zaśpiew z korytarza.

*Choć na dworze zimno, to mróz jej nie tyka
Grzeje się oddechem martwego konika.*

– Powaliło go do reszty – mruknął do siebie.

Już miał się położyć, ale tchnięty dziwnym przeczuciem raz jeszcze podszedł do obrazu. Przyjrzał się dokładnie upiornej scenie.

Tył pochodu zamykała cztero-, góra pięcioletnia dziewczynka, dosiadająca szkieletu kucyka. Jego żebra oblażyło białe robactwo; część przegniłych kości odpadła od korpusu i ciągnęła się leniwie za martwym zwierzęciem. Zdecydowanie to nie mała dzocejka nadawała rytm jeździe, ciężko bowiem powozić bez rączek. Odcięte dłonie złączono sznurem i zarzucono dziecku na szyję. Zwisaly stamtąd jak para zimowych rękawic.

Adrian pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Chore gównno.

Znowu miał koszmary. Rzucił się w pościeli niczym człowiek tknięty epilepsją. Śniło mu się, że nie może oddychać, że jakaś szponiasta łapa zaciska mu się na gardle i odcina dopływ

powietrza. Uderzył głową w ścianę. To go przebudziło.

Ale horror dopiero się zaczął.

Zamroczony dojrzał się dookoła. Łóżko Marcina było puste, lecz Adrian wyczuł czyjąś obecność. Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, z mroku powoli wyłoniły się kształty.

Kształty znajome i kształty obce.

Obraz zajmował centralną część pokoju, górował nad resztą sprzętów; od pewnego czasu tylko on się liczył i Adrian zdziwił się, że musiało upłynąć tyle czasu, by poznał tę prostą prawdę. Ale pewnie tak musiało być. Być może zasłona musiała opaść właśnie teraz, dokładnie tej nocy, w której dzieło zostało ukończone, a on dostrzegł przyczajoną w ciemności sztalugę.

I kogoś obok niej.

Mimo niechlujnie zawieszonych zasłon, blademu światłu księżyca udało się przebić do pokoju. Jego blask zdawał się skupiać na osobliwej postaci, której obecność zaprzeczała zdrowemu rozsądkowi, negocowała wszystko, co ludzkość osiągnęła od momentu opuszczenia jaskiń aż do pierwszych lotów w kosmos.

Postać przybyła z minionych dziejów, z czasów wilczego skowytu i opętanych ryglowanych okien.

Zza obrazu wynurzył się zarys baranich rogów. Poskręcane, grube sierpy zdawały się przecinać rzeczywistość na pół; powietrze wokół gęstniało i ledwo zauważalnie załamywało się, uchylając zasłonę do innego wymiaru. Bestia przekrzywiła podłużny, kosmaty pysk, jakby zaabsorbowana obserwacją interesującego detalu. Te same ślepie, których gorejący blask od tysięcy lat wyprowadzał dusze nieszczęśników na manowce, jarzyły się teraz złowrogo w ciemności. Zapach siarki drażnił nozdrza, ale co ważniejsze – intensyfikował poczucie obcości. Uderzał w fundamenty współczesnego świata, wypaczał je i plugawił.

Adrian pragnął umrzeć. Cierpienie, jakiego doświadczał przyglądając się diabłu, wymyślało się wszelkiej skali. Obecność demonicznej postaci stanowiła narośl na ludzkiej psychice, guz zakażający umysł, który panicznie domagał się operacji.

Włochata łapa poruszyła się; szpon, w świetle księżycy aż nazbyt podobny do rzeźnickiego noża, przejechał po obrazie. Rozległ się dźwięk przypominający rysowanie po szkłe, z tym że kilkakrotnie wzmocniony. Adrian był przekonany, że zaraz krew popłynie mu z uszu. Przełknął podchodzące do gardła wymioty i wtedy usłyszał coś, co sprawiło, że groza – już teraz głęboka i niepojęta – wzbila się na wyższy poziom.

*Nie ma lepszej strawy niż niewinna dusza
Same do mnie lęgną, nikt ich wszak nie
zmusza*

*Ich śmiechy i harce cieszą mrocznych bogów
Wkroczą wprost do piekła pod sztandarem
rogów.*

Słowa rozległy się wewnątrz czaszki Adriana; siła, która je wypowiedziała, zupełnie opacznie rozumiała pojęcie komunikacji. Wtłaczała przekaz prosto do wnętrza człowieka, omijając pośrednie kanały i nie oczekując żadnej odpowiedzi.

Gdyby był na tyle przytomny, by móc opisać, co kojarzy mu się z tym nie-dźwiękiem, porównałby go do jazgotu szaleńca, który odnalazł szczelinę między grubymi ścianami zakładu dla opętanych i prowadząc swój bluźnierczy monolog, sączył przez nią jad za mury.

*Czarne będzie białym, gdy wydam komendę
Fałsz prawdą się stanie, gdziekolwiek przybędę
Zrównuję śmiech z płaczem, kiedy wpadam
w gości
Zjadłem twoją siostrę, wysłałem szpik z kości.*

Diabeł podszedł... nie, podpłynął bliżej łóżka. Rozległ się obrzydliwy bulgot; obły, porośnięty gęstymi kudłami brzuch zadrażał,

jakby w środku przebudziło się do życia kłębawisko węży, a później dobył się stamtąd słodki głosik:

– Blacisku, pamiętasz mnie?

Adrian miał ochotę wyć i zwiijać się z bólu. Zdołał jedynie uronić łzę.

– Nie podszedłeś do mnie wtedy, nie powstawałeś przede mną, więc to ja psysłam po ciebie. Chichotek powiedział, że to przez ciebie tu jestem, że wtedy chciałeś, żeby to mnie zablalał, a ciebie zostawił w spokoju. Chichotek mówi, że jesteś TCHÓZ.

To było straszne wyznanie, ale wiedział, że usłyszał prawdę. Był dzieckiem. Bał się. Bał się o siostrę, ale bardziej o siebie, to rozumiał. Tak, mógł tak wtedy myśleć, mógł pragnąć, by diabeł porwał Anetkę a jemu darował życie, ale czy ktokolwiek zachowałby się inaczej...

*Chichotek pamięta, mimo że czas płynie
Chichotek pamięta o każdej dziewczynie
O każdym chłopczyku i pięknym zapachu
Zmieszanego moczu z aromatem strachu*

Coś zaszeleściło. W szponiastej łapie zmateriałizował się zwykły, płócienny worek. Taki, w którym na zimę przechowuje się ziemniaki czy też

(zarzuca na głowę niegrzecznym dzieciom)
trzyma stare, niepotrzebne sprzęty.

*Złożyłem przysięgę; przysięga rzecz święta
Jeden worek pusty, gdy drugi w szwach pęka
Przemierzałem światy, nienazwane góry
By wypełnić pustkę płatami twej skóry.*

Diabeł nachylił się nad wciąż sparaliżowanym strachem Adrianem; chłopak resztką sił starał się odpędzać od siebie obraz

czerwonego jęzora
zęby ile ich jest jak mieszcza w paszczy
ogień w oczach on płonie on cały jest
ogniem

horroru, który go otaczał. Kurczowo trzymał się jednej myśli, powtarzał ją w głowie jak mantrę, nieustannie i z coraz większą determinacją.

Podobnie jak wtedy, gdy miał dziewięć lat.

Odkąd tej nocy wyczuł zagrożenie, jeszcze zanim ujrzał prawdziwe oblicze grozy, myśl już zakiełkowała w odmętach jego świadomości i bujnie rozrastała się z każdą następną sekundą przerażenia. Był to bezwarunkowy odruch, jedyna nadzieja skazańca. Po prawdzie właśnie ta myśl utrzymywała go przy życiu i stanowiła pokraczną wizję ratunku.

Nie, nie modlił się ani nie błagał Boga o pomoc. Wiara w protekcję niebios i zasłanianie się tarczą religii w momencie, kiedy bestia rodem z koszmarnych snów obiecuje ci bolesną śmierć to pomysł, jaki narodzić się może wyłącznie w głowach fanatyków, szaleńców albo filmowych reżyserów. Człowiek przyparty do muru przez siłę niewyobrażalnie większą od wszystkiego, co widział, czego doświadczył, nie szuka ucieczki do potęgi jeszcze większej, nieznaney, lecz korzy się przed agresorem. Robaczeje. Zrzuca szaty moralności.

Składa obietnice.

Wszystko, byle nie dać się pożreć.

Czasem zostaje wysłuchany. Czasem, gdy jest dzieckiem, i czasem ponownie.

Chichotek, twór przedwieczny i abstrakcyjny, wybuchł śmiechem – śmiechem tysięcy pochłoniętych przez mrok dzieci. Aureola ciemności wokół baranich rogów zadrżała w spazmach szalonej radości.

*Oferta przyjęta, Chichotek się zgadza
Otchłań zawsze karze, nigdy nie nagradza
Gdy nastanie pora, dam ci znak do boju
Przysięga rzecz święta, robaczywy gnoju.*

Adrian osunął się w ciemność.

Rano, po pierwszym szoku, składnie odpowiadał na pytania policjantów dotyczące samobójstwa Marcina, jego rozstrojonej psychiki i zniszczonego obrazu, nad którym się powiesił. Ostatecznie miał pół roku więcej na zaliczenie sesji. Nie zmarnował go ani żadnego kolejnego. Cieszył się życiem tak, jakby każdy dzień miał być jego ostatnim.

– Powiedział coś? – Aspirant Wysocki zagadnął kolegę, przyglądając się oskarżonemu przez lustro weneckie.

– Nic a nic. Milczy jak grób.

– Pewnie liczy na to, że przybiją mu niepo czytalność. Skurwysyn.

– Jak wywiad środowiskowy?

– Zgadnij – prychnął Wysocki. – Sąsiedzi jakby przeniesieni z reportaży, sypią nawet tymi samymi ogranymi sloganami. „Nikt nie spodziewał się tragedii, normalna rodzina, byli tacy szczęśliwi, każdy im zazdrościł”.

– Współczuję kobiecie... Pewnie nawet nie wiedziała, z jakim potworem mieszka. Widziałem ją. Jest w szoku, trzymając ją na obserwacji.

– Dziwisz się? – Wysocki pokręcił głową z niedowierzaniem. – Cała trójka... Ciekawe, czy dowiemy się od niej, kto jest autorem tego rysunku. Może w szkole powiedzą. Wydaje mi się, że dzieciak miał problemy z psychiką. Albo pod płaszczykiem przykładowej rodzinki kwitła jakaś patologia.

Gruha na wzmiankę o rysunku sięgnął do biurka i wyjął teczkę na dowody. Raz jeszcze przyjrzał się dziwacznemu, pokracznemu obrazkowi, jaki znaleźli na miejscu masakry, nagryzłomolonemu samym ołówkiem.

Ludziki z rogami prowadził na sznurku trzy małe, okaleczone postacie. Jednej brakowało ręki, druga wyginała kończyny pod nieprawdopodobnym kątem, ostatnia broczyła krwią z oczu. Rogacza opatrzone podpisem CHICHOTEK i dołączono emblemat uśmiechniętej buźki ☺. Na plecach nosił coś, co przypominało pelerynę. Albo worek, jeśli uruchomić wyobraźnię.

U góry, koślawym, dziecięcym pismem, wykaligrafowano:

Ja nie zapominam, a ty, ludzka szmato?

Przysięga rzecz święta – czyni honory, tato. ■

Na psa urok!

Michał Rybiński

Skale i jego Drace, a także Reksowi, Azorowi i Pestce

Ares pojawił się znikąd, istna futrzasta furia: mnóstwo mięśni, wściekły warkot, groźne kły i – co w policji często nie jest niczym zaskakującym – zero pomysłu. Zatakował opancerzony ogon, praktycznie nie czyniąc żadnej szkody. Uzbrojona w imponujące zęby szczeka wystrzeliła w kierunku psa, brutalnie podrywając go z ziemi. Wystarczył jeden gwałtowny ruch pyska, by owczarek poleciał w kierunku wyjścia przeciwpożarowego, zostawiając w powietrzu ślad z krwi i wyrwanego futra oraz pogłos rozpaczliwego skowytu. Runął między tłoczących się u szczytu schodów antyterrorystów, którzy nerwowymi kopnięciami posłali go dalej w dół, usiłując cały czas mierzyć do celu.

Ból, ból, pomocy! – Złotko odczytał zmysłomnienie, podnosząc się z ziemi.

Durny kundel... – wysłał od siebie. Co nie zmieniało faktu, że idiotyczna szarża czworonoga dała mu tę tak potrzebną, dodatkową chwilę, by obrócić się w kierunku przeciwnika. Czuł, że polowanie dobiega końca, czuł w żyłach wzbierający ogień...

Wcześniej...

– Jurek, ale co ja tu robię? Mam uprawnienie tylko na psy.

– Cicho bądź, Stachu. Zobacz, tego ponoć da się przystosować. Chcę, żebyś go poobserwował, powiedział mi, co myślisz.

– Który?

– Ten w kacie, co tak łypie podejrzliwie, jak zule pod nocnym, kiedy dasz im dychę...

– Dajesz im dychę?!

– Oj, raz mi się zdarzyło, nawalony byłem... Zresztą, to sąsiad był. Wiem, że rzadko chleje, a tego dnia teściowa u nich była. No dobra, dość o menelach. I co, co o nim sądzisz?

Młodszy z policjantów podrapał się w zamyśleniu po brodzie. Spoglądał na wskazany okaz. Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment, obserwowany stwór syknął ostrzegawczo, mundurowy zadrżał, a potem zrobił krok wstecz, klnąc szpetnie.

– Co się stało, Młody? – zapytał Jurek, przyglądając się uważnie koledze.

– A... Nic, nic. Tylko...

– Tylko...?

– No, jak na mnie spojrział... To jakby mi kto szpilę w łeb wbił...

– Świetnie!

– Co?! Oczadziałeś?!

– Nawiązuje kontakt. Nada się. – Starszy policjant, z szerokim uśmiechem na twarzy, klepnął kolegę w ramię.

– Posrało cię, mam psa i to mi starczy!

– Oj, Staszek, zastanów się: żonę masz? Masz. Kredyt macie? Macie. Na psie takich dodatków nie dostaniesz od fabryki, jak przy tym okazie, a powiem ci w tajemnicy, że jak dobrze uderzysz papierem, to i ubezpieczenie na życie, i bonusowe od utraty pracy dostaniesz. Firmowe.

– Sorry, Jurek, ale weź, kurwa, może sam go sobie przygruchaj, co? Te gnoje żrą przewodników!

– Młody, Młody... Ja mam swojego od sześciu lat. Nawet palca mi nie polizał. Kwestia,

że tak to ujmę, wzajemnego porozumienia. Pomogę ci, sam zobaczysz, od razu z psem będzie chodził. No, chodź, przekimaj się z tym, pogadaj ze starą, jeśli chcesz, a jutro mi odpowiesz... To szansa, nie z każdym chcą się kontaktować. Stary, jeden na stu, co ja mówię, na parę setek ma kontakt w ciągu pierwszego kwadransa! Młody, ja ci mówię – od jutra napierdalasz licencję na smoka!

Kiedy zasypialiśmy w naszych jajokonach, obiecywano nam raj, ziszczone marzenie. Ogromne terytoria, mnóstwo zwierzyny, piękne krajobrazy – wizje archonta bazy-leusa były więcej niż wspaniałe. Prawdziwy cud, wymodlony, wykupiony krwią samobójczych ofiar na ołtarzach starych bogów. W końcu znaleźliśmy świat, w którym mogliśmy liczyć nie tylko na przetrwanie. Nasz obecny dom wkrótce miała pożreć łakoma gwiazda, doznająca – akurat w trakcie istnienia naszego gatunku – kosmicznego wzdęcia. Miałem cichą nadzieję, że się słończko udławi tą skałą.

Przemierzaliśmy Pustkę uśpieni zimnem, w odwiecznej hibernacji – jak ongiś nasi przodkowie. Podobnie jak oni, mieliśmy objąć nową planetę we władanie. Czas i przestrzeń postanowiły jednak przypomnieć o sobie: na miejscu, kiedy opadliśmy z nieba, okazało się, że skład atmosfery uległ zmianie w trakcie naszej podróży. W połączeniu z grawitacją większą niż ta, do której przywykliśmy, oznaczało to, że nie mogliśmy osiągnąć pełnej formy i przyszło nam funkcjonować w takiej skarłalej, miniaturowej wręcz, o mniejszym zapotrzebowaniu na życiodajny tlen. Drugi żarcik Wszechświata był o wiele mniej zabawny – na miejscu okazało się, że jakiś gatunek dwunoga zdążył ewoluować na tyle, by zapanować w koszmarnie ogromnym stadzie nad całym globem. Przy okazji poważnie naruszył

naturalny ekosystem i, co ważne, przetrzebił zwierzynę. W jej miejsce hodował własne trzody, z których wiele nie zostawiało nawet echa wspólnej myśli. Niektóre z tych zwierząt, te bardziej inteligentne, nie powiem, całkiem smaczne, ale to nie było polowanie – raczej pożeranie pozbawionej refleksji świadomości. Trudno takimi istotami nasycić smoczy głód, ale lepsze to niż nic... Wiele z nas oszalało, szukając na gwałt większego istnienia i próbując słyszobrazować się z pozostałymi przy życiu, pojedynczymi, dzikimi umysłami. Bez prawdziwych łowów prędzej czy później ulegali: wygłodzony daimonion przejmował nad nimi całkowitą kontrolę. Straciliśmy tak wiele młodych, niedoświadczonych piskląt. Znajdowaliśmy je półżywe, połamane i musieliśmy przetrwać je w całości, by nie zatrwały różajni, lub sami musieliśmy... Nawet wspólnie tworzony parakletos nie mógł przemóc tego szaleństwa łaknienia.

Dwunodzy oddalili się od Jestestwa tak dalece, że nie byliśmy w stanie ani ich odczytać, ani nawiązać kontaktu bardziej wyrafinowanego niż podstawowe emocje. Nie smakowali zbyt dobrze, choć trzeba przyznać, że swoją psychę potrafili nasycić smoka na długi czas. Co więcej, chyba już kiedyś przetrwali inwazję któregoś ze zrzutów Wolnych Wędrowców, bo natychmiast zaczęły nas więzić, badać, torturować, a nawet zabijać. Po raz pierwszy braliśmy udział w polowaniu nie jako myśliwi, lecz w roli zwierzyny.

Niektórzy z nas walczyli desperacko, bez szans na zwycięstwo. W rozlicznych starciach przetrwaliby resztki pozostałych po Wędrowce kamieni, liżąc rany lub pożerając i ocalając od zapomnienia psyche tych z nas, których fizyczne ciało nie mogło już umknąć śmierci. Inni, jak ja, postanowili udawać to, za co nas wzięły owe wyprostowane dziwołagi – drapieżniki z Pustki, bardziej skomplikowane zwierzęta ze szcążkową inteli-

gencją. Mieliliśmy nadzieję zapewnić sobie w ten sposób czas potrzebny do zdobycia materiału na zniesienie nowych jajokonów i opuszczenie tego przeklętego, umierającego piekła.

W dużym skrócie, biorąc pod uwagę, że dwunogi położyły łapę na większości interesującego nas budulca, oszacowałem czas, który musieliśmy przetrwać w tym udupieniu, na jedno millenium, może trochę mniej. Fortel z udawaniem głupszych niż w rzeczywistości – jak dla mnie – był bardzo obiecujący. Niestety pioniołazy okazały się niezwykle pragmatyczne: zaczęły nas wyłapywać i używać do własnych celów. Miałem pecha trafić w ich sieci...

– Kilka podstawowych faktów, Młody. Taki smok, mimo że nie większy od owczarka, jest od niego silniejszy i szybszy. I lata, rozumiesz, coś jak mały krokodyl ze skrzydłami. No i zionie... Węch i słuch ma gorszy, wzrok o niebo lepszy. Uważaj z bł-

skotkami, nie wiedzieć czemu, rzucają się na każdy drogi cenny piździonek, metale szlachetne i takie tam. Aśkę z obyczajówki kojarzysz? Kolczyki jej Ognik zaiwanął... Czemu zdjęła? Spierdalaj! No nic, chuj wie, jak to smocze ustrojstwo działa, jajogłowi do dziś nie potrafią tego wytłumaczyć. Nas obchodzi, jak z gościem postępować. Moja gadzina, na ten przykład, toleruje moje futro, ale wystarczy inny smok w okolicy i dostaje kociokwiku. Dzielisz więc zadania, pies jest od tropienia i przeszukania, zatrzymania bez zabicia, czyli generalnie na ludzi, których naprawdę chcesz aresztować. Jak wypuścisz to łuskowate bydlę, to tak, jakbyś puścił czołg – zero gwarancji, że cel dożyje skucia. Smoka spuszczasz wyłącznie na innego smoka lub jeżeli ci nie zależy...
Poniał?

– Takie buty... Tego pedofila ty ściagałeś?

– Daj spokój, Staszek, a co ty byś zrobił na moim miejscu? Skup się na tresurze. Gnoje szybko się uczą przez obserwację, ale muszą, podobnie jak futra, zrozumieć, kto jest przewodnikiem, alfą. Na akcję będziesz ruszał we



wdzianku pepoż, więc zaczniemy od nauczania gościa, że wtedy jesteś nie do ruszenia. Włóż to!

– No, nie wiem...

– Nie pitol, to działa, sam to przeszedłem.

– Ty, Juras, a co one żrą?

– Wiesz co, surowiznę. Nie wiem dlaczego, ale wołowiny, drobiu i jagnięciny nie ruszają, za to osobiwie chętnie żrą wieprzowinę, czasem szczury, koty... Nawet bezpieczeństwa psy. Mój Ognik wprawdzie nie rusza Kudłacza, ale to widać gołym okiem, że smok jest wyżej w hierarchii, futro się go obawia. Widziałem nawet ogłoszenie hycła ze smokiem, powiem ci, brutalny interes, ale na pewno skuteczny. Bardzo rzadko atakują ludzi bez polecenia, przynajmniej te oswojone, bo z dzikimi to już inna sprawa.

– A te igły w głowie...? Jurek, kurwa, jak ja mam to włożyć? – Staszek nadal mocował się z ognioodpornym kombinezonem.

– Czekaj, pomogę ci... Nie mów nikomu, ale mój Ognik to jakiś pieprzony telepata. Normalnie zawsze wiem, kiedy się wścieka lub kiedy poluje. Nazwij to przecuciem, wiedzą, a ja ci powiem, że to zupełnie inna sprawa, niż kiedy znasz swoje futro i obserwujesz jego reakcje. Tu zawsze coś mnie tak wali w potylicę najpierw... No, już. Ruszają, wypuść go. Czekaj! Gaśnicę weź, jak rzygnie ogniem więcej niż raz, zgaś go.

– Co?!

– Normalnie, odpalasz gaśnicę w pysk... Po takim prysznicu gościu wie, kto tu rządzi. Z kosmosu czy z dupy, zasady są te same: na start ustalasz hierarchię, bez tego nie pojedziesz dalej. W razie czego odpalę elektryczną obrozę, cholernie tego nie lubią. No, ruszaj, pokaż mu, co wart jest prawdziwy pies.

Długo nie potrafiłem pojąć, dlaczego te futrzaste, stadne drapieżniki tak łatwo podporządkowują się dwunogom. Szczerze przy-

znam, że to uwłaczające: gesty, głośne dźwięki, a gdy któryś jest oporny – przemoc. Nie są może najbystrzejsze, ale gdyby chciały, mogłyby samostanowić własną rójają. Ale nie, zaprzędają się za żarcie, za dotykanie, za nędną namiastkę polowania w postaci gonitwy za okrągłym, toczącym się przedmiotem...

Nie ukrywam, że wzbudzały moją pogardę, przynajmniej do momentu, gdy zorientowałem się, że tak naprawdę imitują część mimiki dziwołagów i dają im sygnały niewerbalne, dużo wyraźniejsze niż swoim pobratymcom. Fascynujące, to jakaś symbioza, ewolucyjne dostosowanie... Usiłuję cały czas nawiązać dyskretne połączenie z młodym dwunogiem, ale bez większych sukcesów. Wysyłam wyłącznie bardzo wyraźne sygnały, a i to ledwie zauważa. Odczyt? Bez szans, jakby go nie było w eterze. Po dłuższej obserwacji zrozumiałem, że starszy dwunóg uczy młodego tak naprawdę nie, jak mnie zmuszać do wykonania określonych czynności, ale jak nawiązać podstawową komunikację. Bardzo podstawową.

Czworonogi musiały mieć ten sam problem, co my. Oddalenie pionolazów od Jeststwa uniemożliwia przesłanie i odebranie myśli. Dochodzę do wniosku, że futrzaste drapieżniki dawno temu nauczyły dziwołagów, jak porozumiewać się bezmyślowo, prehandlowując swoją wolność za kontynuację gatunku. Zrobili to tak, by dwunożni uwierzyli, że to oni uczą czegoś te zwierzęta. Ciekawe, ciekawe... Dlaczego czterolape postąpiły w ten sposób? Jestem w stanie je odczytać, ale ich myśli są tak boleśnie proste i nieskomplikowane, przeładowane czymś... czymś niezrozumiałym, nielogicznym.

Początki były trudne, o mało nie zabiłem „swojego” pionolaza – usiłował mnie utopić w jakiejś pianie. Niestety, nałożyli mi coś na szyję, coś, co oślepiało niczym głosy zmarłych smoków. Przyczaiłem się więc, obserwowałem. Mam czas, dużo czasu – znajduję

sposobność do ucieczki. Udaję współpracę, zbieram wiedzę. Uczą mnie, co interesujące, polowania na... inne dwunogi. Chyba byli zadowoleni, kiedy spopieliłem jakąś kukłę, ale żywą reakcję, którą nagradzają futrzaki, zaliczyłem dopiero, gdy na określony gest obaliłem zwierzyńcę bez zabijania. Doprawdy, ciekawe...

Muszę wkrótce wykonać jakiś ruch. Mój daimonion krąży na obrzeżach pathos, sycząc głośno. Czuję jego głód – ochłapy prostych świadomości, zdobywane bez wysiłku, już mu nie wystarczają. Nie wiem, jak długo jeszcze będziemy mogli współistnieć bez pożerania się nawzajem... Od dawna nie ruszał na łowy, a ja przetrawiłem większość pożartych kamieni.

Ochrzcili gada Złotkiem, bo w świetle jarzeniówek jego łuski wyglądały jak zaśnieżone kruszec. Po pierwszym spalonym manekinie Staszek był przerażony. Smok skradał się bezszelestnie, śledził, przyczajał, potrafił nieruchomieć w cieniu jak głaz, by zupełnie niespodziewanie uderzyć. Trzeba jednak przyznać: szybko pojął, że atak ma nastąpić tylko na określoną komendę, że czasem wystarczy obezwładnić cel. Nie było za to mowy o jakimkolwiek posłuszeństwie czy reakcji na przywołanie, przynajmniej z początku. Dopiero wiele strzałów z elektrycznej obroży później opanował proste „Do mnie!”

Nic jednak nie okazało się trudniejsze niż współpraca z psem.

Nie rozumiem, dlaczego nie wolno mi zjeść czteropa. Kiedy wprowadzili do gniazda drapieżnika, zwyczajnie myślałem, że chcą, bym na niego zapolował...

To było upokarzające. Ślepiłem i padałem kilka razy, nim opanowałem kierujący

mną daimonion. Doszedłem w końcu z nim do ładu, nie powiem, nie bez trudności – dopiero po jakimś czasie pozwolił mi odzyskać kontrolę. Czworonogi sierściuch był na uwięzi, na każdy mój ruch w stronę młodszego dwunoga reagował agresją: wydawał dźwięki, sygnalizował walkę. Daimonion słyszobrazil jego gniew, bezmyślny, bezwarunkowy, istny szal – zostawił mi zmysłomgnienie. Tutejszy drapieżnik ma ogromne serce do walki, już na spokojnie zrozumiałem: bronił stada. Niby jakiego, na mój ogon?! Z pomiatającym nim dwunogiem? Ha, dobre sobie! Co za durne zwierzę...

Wielokrotnie kroilem myślopamięć w miliony mgnień i układałem na nowo, nim pojąłem, że czworonogi są moim kluczem. Jeśli kogoś lub coś zaakceptują, dziwolągi im ufają, stają się mniej czujne. Futrzaste drapieżniki pomagają pionozom nie oddalić się jeszcze bardziej od Jestestwa, a z kolei dwunogi...

Dwunogi zapewniały polowanie.

Komendant stanął obok Jerzego za ognioodporną szybą okalającą plac w hali treningowej. Siorbał kawę. Staszek, w nieforemnym, przeciwpożarowym kombinezonie, machnął nieregulaminowo, po czym rzucił przyniesioną przez Aresa piłką w kierunku smoka. Owczarek ruszył w pogoń, wywalając język na wierzch.

– Jak idzie? – Zagaił między łykami dowódca.

– Kapitalnie, panie komendancie. Świetny smok, nawiązał współpracę z psem.

– Wejść tam czy jeszcze...?

– No, w sumie to możemy wejść. Ale z gaśnicami.

Kilka minut i całą serię sapnieć później Jerzy i komendant dołączyli do Staszka. Smok zasyczał, rozpościerając ostrzegawczo

skrzydła, lecz po uspokajającym geście Staszka z ociąganiem wrócił do zabawy z psem. Ares obskakiwał stwora, trzymając piłkę w zębach i powarkując radośnie. Złotko markował ataki, udając gonitwę, ale pozwalał owczarkowi uciec z zabawką.

– Mówię panu, panie komendancie – odezwał się ze źle skrywaną dumą Jurek – z tego smoka będzie niezły „pies”...

Czterolapiec nabrał na tyle zaufania, by zacząć słyszobrazować do mnie. To było łatwiejsze, niż myślałem.

W końcu opuściłem swoją pieczarę. Wprowadzono mnie do dziwnego jajokonu, przebyliśmy nieznaną mi przestrzeń. Daimonion mruczał na krawędzi różaźni, wibrował w pazurach, ściekał śliną z kłów... Nie mylił się. Byliśmy na polowaniu. Nie bez obawy oddałem mu kontrolę, zostały mi tylko strzępy wspomnień.

Futrzasty drapieźnik z pyskiem przy ziemi, tropiący zwierzynę.

Unoszę się nad nim. Jest ciemno.

Mała, ciemna pieczara, wyrastająca z ziemi. *Tutaj, tutaj, zwierzyna!* – odczytuję podekscytowanego czworonoga.

Pazurami rwę szczyt dziwnej jaskini, podaje się łatwo.

Dziwny zapach, ogłuszające huki, błyskają skry, w pierś coś kąsa, chyba niegroźnie. Jak młode próbujące pierwsze zęby.

Pionołazy.

Zwierzyna! Polujemy!

Oooch, ogień...!

Daimonion odpełza niespiesznie poza logos, syty, zostawiając w myślöpamięci ostatnie zmysłomgnienia. Nie będzie mnie niepokoił przez dłuższy czas, wchłaniając nową psychę. Powoli wracam. Siedzę w rozżarzonych ruinach na upolowanym dwunogu. Nieco dalej czworonóg obwąchuje beżglówkę zwłoki drugiego. Coś boli, nie za

mocno, ale czuję wyciekające ciurkiem życie, więc rozgrzewam najmniejszy z najmniejszych kamieni, by zasklepić ranę. Czekam, na pysku czuję krew. Nadbiegają „nasze” dziwolągi. Młody, zgięty w pół, zwraca, jakby zjadł nieświeżą padlinę. Drugi poklepuje go, wydając dźwięki. Nie rozumiem, ale chyba są zadowoleni.

– Spokojnie, Stachu, przywykniesz. Tak jest lepiej. Gratuluję, sprawa zamknięta.

Dla sierżanta Stanisława Grabowskiego tresura smoka, a potem powstrzymanie gada przed pożarciem Aresa i nauczanie zwierząt współpracy, było chyba największym wyzwaniem w życiu. Praca szła szybko, dużo szybciej niż z samymi psami i dawała ogromną satysfakcję. Jakby tego było mało, pies i smok w końcu stworzyli stado. Trzeba przyznać, że Złotko zdecydowanie rozstrzygał wszelkie wątpliwości co do kolejności dziobania na swoją korzyść, ale też ewidentnie prowokował Aresa do zabawy. Z kolei futro upodobało sobie ciepły, smoczy brzuch, do którego przytulało się podczas drzemek w kojcu. Po jakimś czasie Grabowski przestał się obawiać o bezpieczeństwo psa na tyle, by zostawiać obydwu zwierzaki same. Smok okazał się nader rozsądnym okazem, umiarkowanie agresywnym podczas interwencji – prawdziwe złoto. Po kilku akcjach w terenie policjant musiał przyznać, że gad do spółki z futrem to kombinacja nie do pokonania. Aż do hyclówki.

Hyclówka. Małe, skoczne słowo, które skrywa w sobie ciężki, rozbełtany do granic możliwości burdel. Tak dyspozytorzy nazywali polowanie na bezpieczeństwa smoka, który wtargnął na tereny zurbanizowane. Z niewiadomego powodu gadziny ulubiły sobie jubileów, osobliwie często zżerając kamienie szlachetne, w szczególności – diamenty. Czasami któremuś coś odbijało i zamiast kulturalnie ulotnić się po skoku, zaczynał siać popłoch,

nął z pola widzenia, więc przewieziono go tutaj, do gniazda i nieobcych mu dwunogów. Swoją drogą, pierwszy raz widziałem, by „nasz” pionożak zaatakował silniejszego od siebie, bardziej ołuskowanego przedstawiciela własnego gatunku. Zdaje się tego, który nogą kopnął rannego futrzaka w dół tej konstrukcji... No nic, „nasz” będzie miał kłopoty, z tego, co myślośnie, oni ściśle przestrzegają hierarchii.

Cicho, czworonożna kupo futra, cicho! Nie wysyłaj tego tyle! *Jesteś oazą spokoju, pierdolonym, białym kwiatem na tafli jeziora!*

Heh, nie zrozumiał.

Przyszedł „nasz” dwunóg. Świetnie, zabierz go, uczisz...! *Bo zjem, klnę się, mimo że to popsuje nasze relacje!* Wariat, wszedł do gniazda bez ochronnego pancerza... Mógłbym go zabić, mógłbym teraz uciec, kto mnie powstrzyma?

Zaraz, co on robi? Usiadł przy futrzaku. *Durny kundel, cierpisz? Czemu to zrobiłeś? Wiesz przecież, że jesteśmy mocniejsi!* Pionożak dotyka zwierzę, gładzi je. Przynajmniej lament czworonoga ucichł... Zaraz, co to...

„Naszemu” woda leci ze ślepi, odczytuję, słyszobrazuję i jego, i rannego drapieżnika! Jak to możliwe!? Oni, razem... Człowiek myślotka do czterołapa! *Stado blisko, blisko, nie bój, my tu...* Obaj! I coś jeszcze, coś potężnego, nie rozumiem tego...

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Zabijcie mnie, pobratymcy, powinienem być ich spopielić i uciec. Ale kiedy otulałem skrzydłem rannego czworonoga, kiedy resztką sił polizał mnie po pysku tym cuchnącym ozorem, to było takie... Przez chwilę byliśmy w jednym Jestestwie, wszyscy: dwunóg, czworonóg i ja, w różni tak obcej, dziwnej, nielogicznej... Tak przemożnej, że kazała mi rozgrzać część własnych kamieni i ulżyć kundlowi, w ten sam sposób, w jaki pomagamy naszym pisklętom, gdy połamia skrzydła. To było nierozsądne, cofnąłem się o dobre dwie pory roku w zapasie budulca, to był czysty idiotyzm, wariactwo...

To było dobre. Nie chciałem inaczej. ■

Dziękuję moim testerom (Gosia, Magda i Kłapaty), sam już nie wiem po raz który, za piękną współpracę. (MR)



Fairy Drabble Blues

Anna Jakubowska

*Niewiele w życiu mam
Sto słów to tyle, ile trwam*

Widzicie go, jak tam siedzi? Na ulicy, z gitarą w rękach i kapeluszem na drobniaki przed sobą. Pozornie niczym się nie wyróżnia, tylko jego muzyka chwyta dziwnie za serce.

Swoi się go wstydzą, dla ludzi jest obcy, dla aniołów nie dość dobry, zbyt odległy dla piekła.

Zawarł umowę z magiczną jędzą, aby na sto słów zstąpić między zwykłych ludzi. Urodził się na ulicy, wyskoczył z głów przechodniów niczym bogini mądrości. Mógł prąść słomę w złoto, zamiast tego – szyje bluesa.

Jest szczęśliwy.

*Koniec bliski już
Mówię wszystkim: „pa!”
Piosenka dalej trwa ■*



© Małgorzata Dudek

Gadźeciarz

Marcin Kłak

Wszystko zaczęło się, gdy ogłoszono nowy projekt nadrealnej telewizji. Ceny odbiorników były olbrzymie, ale jak się jest gadźeciarzem, to człowiek przywyka. Sprzęt kupiłem w dniu premiery. Podpiąłem go i zgasilem światło – w ciemnym pokoju TV wygląda lepiej. Na początek wybrałem program o Edenie – wicie, Ewa to dziewczyna o ponętym ciele.

Pokój zastąpiony został rajskim ogrodem, a wszystkiego można było dotknąć. Potem popełniłem błąd – wybrałem *Wielki ocean*. Pierwsza fala wyrwała mi pilota. Od dwóch godzin unoszę się na wodzie, ale pewnie niedługo osłabnę i utonę. Dobrze, że mam ten superodporny na wodę e-notes. Może ktoś kiedyś wyciągnie wnioski z mojej przygody. ■



© Ela Scholz

Glejt

Adam Jarmuła

Czarodzieje, znachorzy, wyrocznie, akwizytorzy – oto imiona chorób toczących Przedostatnie Wolne Miasto. Zdawać by się mogło, że o stworzeniach Bożych mowa, lecz nie można nazwać człowiekiem tego, kto podobnych rzeczy się tyka. Podmioty owe stanowią zgniliznę, którą ogniem wypalić należy, by całości zepsuciem nie ogarnęła.

Szczury uciekają przed ogniem, roznosząc swój smród wszędzie, gdzie się udadzą. Podobnie czynią ci, co w złych mocach szukają oparcia. By zapobiec szerzeniu się praktyk zakazanych, zarządzam kwarantannę miasta. Ponadto od dnia dzisiejszego powołuję siły zbrojne mające uchronić świat zewnętrzny przed niebezpieczeństwem. Każdej bramy strzec będą jednoosobowe oddziały, bowiem nie ich siła fizyczna, a intelekt stanowić musi tarczę wszystkiego, co poza murami.

Andrenon Spirtus

Najwyższy Kapłan Przedostatniego Wolnego Miasta

Przykro mi, zgody na przejście nie ma. – Żołdak strzegący bram miasta spojrział na delikwenta z miną wyrażającą szczerą obojętność wobec jego roszczeń.

– Jak to nie ma? Jeszcze rano furta stała otworem dla wszystkich!?

– Może i faktycznie każdy mógł wleźć i wyleźć, jak się komu chciało. – Mimika strażnika konsekwentnie manifestowała bezgraniczne znużenie otaczającym go światem wraz z ludźmi go zamieszkującymi, a dynamiką twarzy dorównywał on marmurowym rzeźbom. – Teraz bez glejtu przejścia nie ma.

– Jakiego glejtu? – dopytywał się rachityczny człowieczek.

– Miasto zostało zamknięte, póki wszyscy czarodzieje i inne cudaki nie zostaną oddani w ręce naszego Wielkiego Kapłana i osądzeni przez miłosiernych bogów. To jest... spaleni na stosach...

– Ale o jaki glejt chodzi?

– Musicie mieć potwierdzenie, że nie jesteście żadnym czarownikiem.

– Panie strażniku kochany! Spójrzcie na mnie. Czy ja wyglądam na czarodzieja? Spytajcie chłopów na bazarze o Cislawa z Łysych Konarów. Każdy zapewni, że z Cislawem można się napić.

– Możecie wyglądać, jak tylko chcecie. Czy ktoś jest czarownikiem, nie mnie stwierdzać. Od tego jest komisja do identyfikacji czarodziejów.

– Przecież gdybym faktycznie był czarodziejem, to dawno wyostałbym się z miasta jakimiś magicznymi sposobami...

– I tutaj się mylicie, bo z miasta da się wyostać jedynie za okazaniem glejtu, którego czarodziejom nie dają!

Poirytowany Cislaw właśnie szykował przemowę, która niechybnie doprowadziła-

gnął niewiadomo skąd. Tymczasem rachityczny człowieczek nie ustępował:

– Przecież widzieliście, jak przemienił się z konia w człowieka.

– Jego sprawa. Skoro ma glejt, to znaczy nie jest czarodziejem, w przeciwnym wypadku by go nie dostał.

– A może jednak dostał? Może ktoś się pomylił?

– Słuchajcie, Cislaw... Są różne te... instytucje. Taka, co glejty daje, to słucha innej, która mówi, komu można, a komu nie można. Zapytacie w tej innej, a się dowiedziecie, że ona jest przedłużeniem Najwyższego Kapłana. Nie chcecie chyba powiedzieć, że on się myli?

– To może ten glejt jest podrobiony?

– Cóż...

Dowódca straży przeniósł wzrok na Sonipesa. Ten, rozparty w wygodnym fotelu (którego wcześniej przed bramą nie było), pykał dym z fajki (która nie wiadomo skąd się wzięła), robiąc przy tym przerwy, by sięgnąć po filiżankę herbaty stojącą na eleganckim drewnianym stolczku (również wziętym niewiadomo skąd). Klasyczny przykład niespodziewanej sytuacji numer 54.

– Rozumiem was, Cislaw – stwierdził znudzony wartownik. – Nie możecie przejść, to próbujecie na złość porządnym ludziom robić.

– To spójrzcie, co teraz wyprawia ten wasz uczciwy człowiek!

Żołdak rzucił flegmatyczne spojrzenie na domniemanego czarodzieja, który przyglądał się szachownicy (wcześniej niewidzianej), gdzie goniec właśnie potykał się z hetmanem. Zwykła niespodziewana sytuacja numer 97.

– Takie rzeczy często się widzi w biurze Najwyższego Kapłana – stwierdził strażnik, czując dumę, że może pochwalić się znajomością spraw obcych dla pospólstwa. – Moźni zwą to szachy. Mówię wam, że pan Sonipes to porządny człowiek!

– Jesteście idiotą, żołnierzu, że wierzycie temu typowi spod ciemnej gwiazdy i jego

dokumentom! Ja nie pozwolę, żeby ktoś taki przeszedł przez bramę w majestacie prawa, podczas gdy ja nie mogę!

Tyrada ciągnęła się dalej, a rachityczny człowieczek określał poziom inteligencji poszerzającego się z każdą chwilą grona osób, wyraźnie zmierzając w stronę coraz to ważniejszych osobistości i tego, co mają w tych swoich zakutych łbach. Analiza była niezwykle dokładna, ponieważ obejmowała nie tylko obrażaną osobę, lecz również jej genealogię, historię życia, a nawet czekającą ją przyszłość. Wytracony z równowagi Cislaw właśnie przechodził do dyrektora urzędu od glejtów, kiedy Sonipes pstryknął palcami i rachityczny człowieczek zmienił się w mysz. Nie na długo, bowiem za kolejnym pstryknięciem palców znów przybrał swoją postać, a wyglądał przy tym na jeszcze bardziej oburzonego.

– Proszę się uspokoić – nakazał mu strażnik. – Czy macie glejt?

– Ja? – zdziwił się rachityczny człowieczek. – Przecież doskonale wiecie, że nie.

– Yhm... – Stróż bramy zamyślił się. – Przed chwilą zmieniliście się w mysz i na powrót w człowieka. Obawiam się, że muszę was aresztować, a Kapłan osądzi, co z wami zrobić dalej.

Dwóch żołdaków zabrało wydzierającego się mężczyznę, którego krzyki nie robiły na nikim wrażenia.

– A pana, panie Sonipes, najmocniej przepraszam za to zamieszanie. Muszę krócej trzymać ten plebs.

Sonipes zapewnił, że absolutnie nie ma w związku z tym żadnych pretensji, pozdrowił serdecznie strażnika i po przekroczeniu bram miasta zniknął przy akompaniamencie ogłuszającego huku oraz oślepiającego rozbrzęsku.

Strażnik patrzył jeszcze kilka chwil w miejsce, gdzie niedawno stał Sonipes, i pewna myśl nie dawała mu spokoju.

– Miał glejt... Ale może to jednak był czarodziej... ■

Złota spirala

Michał Marzec-Remiszewski

I

Podobno pierwszy raz odebrano ich sygnał w latach sześćdziesiątych XX wieku, na początku działalności SETI, za czasów projektu OZMA. Był tak niewyraźny, że bardzo szybko został uznany za błąd pomiarowy – nic nie wskazywało na jakiegokolwiek regularności. Z czasem okazało się jednak, że oni naprawdę do nas mówili, w dodatku w bardzo usystematyzowany sposób. Sprawy nie dało się ukryć – uporządkowany, matematyczny wzór nadchodzący z tau Ceti mogło odebrać każde obserwatorium.

Obcy odzywali się do nas w niezbyt regularnych odstępach czasowych – co kilka dni – prawdopodobnie od dawna, być może na długo przed zbudowaniem pierwszego radioteleskopu. Sygnał zakodowany był w czasie i składał się z impulsów – pierwszy, inicjacyjny, drugi po około 0,77 sekundy, a kolejne po coraz dłuższych przerwach, trwających kolejno: 1,54 sekundy, 2,31 sekundy, 3,85 sekundy, 6,16 sekundy, 10 sekund i tak dalej. Jak widać, poczynając od drugiego impulsu, sumując dwie kolejne różnice czasu, można otrzymać następną. Jeśli 0,77 sekundy uznamy za jednostkę i przypiszemy jej wartość 1, to, nie licząc brakującego powtórzenia jedności, otrzymamy piękny ciąg Fibonacciego. Tak właśnie obcy poinformowali nas, że są inteligentni.

Po długiej, nie zawsze racjonalnej dyskusji środowiska naukowego dotyczącej możliwości interpretacji ciągu, przede wszystkim tej najbardziej przerażającej – że kosmici chcą

nas zwabić w pułapkę – przyjęto stanowisko optymistyczne. Przeważały dwa argumenty. Po pierwsze, gdyby obcy mieli wobec nas złe zamiary, to po prostu by po nas przylecieli. A po drugie – jakie korzyści mogliby czerpać poprzez zwabienie do siebie pojedynczego statku z ziemskimi gośćmi? Oczywiście argumenty te miały pewne wady. Ale mimo wszystko, według większości badaczy, ciąg był zaproszeniem. Bardzo naukowym, matematycznym i zgrabnym zaproszeniem.

Skorzystaliśmy z niego dość późno. ESA ukończyła pracę nad silnikiem w 2060 roku, wciąż jednak nie istniał statek, który byłby w stanie przewieźć człowieka. Z pomocą przyszły Chiny i ich projekt nowoczesnej sztucznej inteligencji szóstej generacji. Sztucznej inteligencji, która wzorowana była na mózgu człowieka – posiadała uczucia, wyobraźnię, intuicję i wszystkie inne moduły umysłowe, powstałe u gatunku ludzkiego drogą doboru naturalnego. Sztucznej inteligencji, która w ciele robota mogłaby bez uszczerbku przebyć tak zabójczą i odległą podróż.

I oto ja, samoświadomy robot Jingi Libbs 2100, jestem tutaj, na orbicie Aristaeusa, piątej planety układu gwiazdy tau Ceti g, z której odebrano ciąg Fibonacciego. Ene-maos, mój statek kosmiczny, nie przekracza rozmiarem przyczepy campingowej. Silnik odrzuciłem w jednej szesnastej drogi, tuż po zakończeniu akceleracji. Teraz moja łupinka powoli opada, zbliżając się ku powierzchni planety, i przedziera się przez zwiastującą bujne życie atmosferę. Jak do tej pory nikt mnie nie wita, nikt się ze mną nie kon-

takuje, nikt nawet nie atakuje, w związku z tym wdrażam plan 313. Według niego mam wyładować trzydzieści kilometrów na zachód od źródła impulsów i ostrożnie, nie rzucając się w oczy, badać cywilizację i życie Aristaeusa. Jeśli będzie to możliwe, spróbuję porozumieć się z obcymi. Jak na razie jednak taki scenariusz budzi moje wątpliwości z uwagi na brak przewidywanego przez ziemskich badaczy powitalnego kontaktu. Ludzie wyobrażali sobie, że skoro to Tauce-tańczycy poinformowali nas o swojej pozycji, to pewnie w jakiś sposób ujawnią się podczas lądowania. Tymczasem obcy nawet nie sprawdzili, co za statek zbliża się do ich planety. Chyba że ja po prostu niczego takiego nie zauważyłem.

Lądowanie przebiega zgodnie z planem. Czuję dość silne wyhamowywanie, które jednak w ogóle mi nie przeszkadza. Moje sztuczne, humanoidalne ciało, zwinięte teraz w zapewne dość zabawnie wyglądającą kulkę, nie odczuwa negatywnie efektów takich jak nienaturalnie zwiększone przyspieszenie. W przeciwieństwie do ludzi obleczonych biologicznymi tkankami, mogę wytrzymać naprawdę ekstremalne warunki.

W pewnym momencie ciężenie na chwilę gwałtownie rośnie, a potem nagle zmniejsza się i, po dość silnym wstrząsie, zatrzymuje na poziomie 0,95g. Komputer, podłączony bezpośrednio do mojego mózgu, przekazuje mi morze informacji o stanie Enemaosa – wygląda na to, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. Poświęcam jeszcze kilka ułamków sekundy na błyskawiczne przejrzanie innych dostępnych danych, a gdy upewniam się, że lądowanie faktycznie zostało zakończone pełnym sukcesem, inicjuję procedurę wyjścia poza statek. Lekkie wibracje, a po chwili cichy syk zwiastują rozsuwanie się bocznej ściany Enemaosa, co prowadzi do utworzenia odrobiny dodatkowej przestrzeni – półokrągłego przedsiönka, z którego za chwilę wyjdę na zewnątrz.

Przychodzi czas na podstawowe zabezpieczenie. Sterując modułami statku, nakazuję mu podpiąć moją głowę przewodami światłowodowymi do magistrali systemowej, by rozpocząć proces szczytywania mózgu na pokładowy dysk twardy. Kopia mojego umysłu sprzed kilku lat już tam jest – teraz właściwie ją aktualizuję. To jeden z kluczowych etapów całej misji: dzięki temu, gdy coś mi się stanie, komputer uruchomi drukarkę i wydrukuje nowe ciało, na które przeniesie zgraną przeze mnie świadomość. W ten sposób moja kopia będzie kontynuowała badania, nawet gdy ja nie będę już żył. Oczywiście mógłbym teraz wydrukować nowe ciało i wgrać do niego swój zreplikowany umysł, zyskując towarzysza – i tak też zrobię, ale później. Jak na razie plan 313 zakłada działanie w pojedynkę.

Gdy szczytywanie dobiega końca, ostrożnie wytaczam się z mojej wnęki i powoli rozprostowuję nogi. Pneumatyczne mięśnie działają bez zarzutu – w trakcie całego lotu moje ciało było monitorowane przez komputer, by w razie jakiegokolwiek uszkodzenia dodrukować i podmienić zepsute części. Ruszam rękami i nieco się prostuję, wypełniając przestrzeń drukarce komendę stworzenia przenośnej drukarki LabA1, która, gdy tylko znajdę odpowiednie miejsce, wyprodukuje dla mnie laboratorium. Odczekuję chwilę, po czym sięgam po pierwszą część urządzenia, wytworzoną dokładnie tam, gdzie przed chwilą leżałem. Po chwili pojawiają się druga i trzecia część, które łączę ze sobą i chowam do schowka w metalowej klatce piersiowej.

Odwracam się w stronę wyjścia i nagle, zaskoczony, uświadamiam sobie, że połączenie między mną i Enemaosem od kilku chwil wypełnia głucha cisza. Na ścianach kabiny nie świeci się teraz żadna kontrolka. Cały statek przestał działać; wyłączyło się kompletnie wszystko. A jeszcze przed chwilą Enemaos był w pełni sprawny, nie komunikował żadnego błędu i działał bez zarzutów. Pró-

buję włączyć system, ale bez skutku – statek jest odcięty od zasilania. Sprawdzam wszystko, co mogę sprawdzić manualnie, ale niczego się nie dowiaduję. Enemaos nagle umarł, a ja nie mam pojęcia czemu. Nie jest to dobry początek międzygwiazdnej misji.

W końcu, nie znajdując lepszego pomysłu, przysuwam się do włazu wyjściowego i zaczynam otwierać go ręcznie. Przy okazji zauważam, że przegroda jest wygięta w dziwny sposób – jakby coś uderzyło w nią od zewnątrz. To jednak niemożliwe – cały czas miałem wszystko pod kontrolą. Co więc spowodowało takie odkształcenie? Moje podekscytowanie lądowaniem coraz bardziej zamienia się w niepokój. Może padłem ofiarą ataku obcych? Kto wie, w jaki sposób działa ich technologia – być może potraktowali mnie impulsem elektromagnetycznym. Ale czemu w takim razie nic mi się nie stało?

Kończąc rozsuwanie rygła, właz odchodzi lekko od ściany Enemaosa, a ja popycham go, otwierając na oścież. Podekscytowanie znów zaczyna górować. Do statku wdziera się światło gwiazdy i atmosfera planety (w moim umyśle od razu pojawiają się wykresy: 35% tlenu, 63% azotu, pozostałe 2% to różnorodna mieszanina gazów). Patrzę pod nogi i, w standardowym zakresie promieniowania elektromagnetycznego 400-700 nm, widzę ciemnozieloną, wysoką na kilka centymetrów, trawopodobną roślinność pokrywającą ziemię.

Robię pierwszy krok.

A potem następny, po którym słyszę ciche uderzenie puszczonego bezwładnie włazu o ścianę statku. Ostrożnie wychodzę z cienia Enemaosa i rozglądam się. Jestem coraz bardziej podniecony – od moich „narodzin” nigdy się tak nie czułem. Twórcy sztucznej inteligencji nie pozbawili mnie elementów sieci neuronalnych, które symulują odpowiedzialny za emocje człowieka układ limbiczny. Może się to wydawać posunięciem ryzykownym, ale czyż nie bardziej ryzykowne byłoby wprowadzanie poważnej – albo nawet gene-

ralnej – zmiany w umysł kształtowany przez miliony lat ewolucji? Ewolucja miała czas na sprawdzenie swoich twórców, korzystając z usług doboru naturalnego – ludzie, którzy projektowali SI, wręcz przeciwnie.

Okazuje się, że Enemaos wylądował na niewielkim wzgórzu, pozbawionym bujniejszej roślinności. U podnóża ze wszystkich stron rozciąga się coś w rodzaju lasu. Pnie drzew, o ile można użyć tego słowa, są dość dziwaczne – u podstawy niezwykle szerokie, złożone jakby z dziesiątek mniejszych konarów, zwięzające się ku górze. Stojąc na wzgórzu, mam oczy dokładnie na wysokości „koron”, które mienią się bardzo ciemną zielenią i, o dziwo, głębokim fioletem. Kolorystyka flory może wynikać z faktu, że gwiazda tau Ceti osiąga jedynie 50% jasności Słońca, co oznacza, że rośliny, by przeprowadzać sprawnie fotosyntezę (a raczej jej tutejszy odpowiednik), muszą absorbować szerszy zakres promieniowania niż te na Ziemi. Efektem jest odbijanie mniejszej ilości fal widzialnych, z czego wynikałaby ciemniejsza barwa. Ponadto w atmosferze znajduje się dużo tlenu, zatem i ozonu, stanowiącego dodatkową blokadę dla promieniowania tau Ceti. Zerkam na las w innych długościach fal i kiwam głową – wszystko zdaje się potwierdzać moją tezę. Na pewną odpowiedź przyjdzie mi jednak poczekać do momentu zbudowania laboratorium.

Robię kilka kroków naprzód i okręcam się wokół własnej osi. Szukam jakiegoś ruchu pośród drzew, ale nic takiego nie dostrzegam. Dopiero po kilku minutach opanowuję się i przypominam sobie o nagłym wyłączeniu Enemaosa. Wracam w jego pobliże i od razu dostrzegam zrytą, bordową ziemię ciągnącą się od statku dokładnie po przeciwnej stronie niż wyjście. Podchodzę bliżej i zauważam, że ślad urywa się jakieś trzy metry dalej, w miejscu, w którym znajduje się dość głęboka dziura. Zupełnie jakby Enemaos uderzył w to miejsce, a następnie przeturlał się kawałek dalej. Patrzę na statek i wzdrygam

się ze zdziwienia. Jego ściany są powyginane i pobrudzone, w szczególności półokrągły przedsionek, co zauważyłem już od środka. W jednym miejscu sterczy nawet złamana, czarna gałąź, bez wątplenia należąca do któregoś z drzew otaczających wzgórze. Enemaos zatem, zanim wylądował, musiał przeturlać się przez kawałek lasu. Problem jednak polega na tym, że lądowałem przed chwilą i nic takiego nie zaobserwowa...

Olśniewa mnie. Wszystko staje się jasne. Poszlaki łączą się w całość: nagle wyłączenie systemu, powyginany przedsionek, inne ślady po ciężkich przejściach statku i fakt, że nie zauważyłem ich przyczyny. W ułamku sekundy analizuję wszystkie możliwości i znajduję tylko jedną odpowiedź: moje lądowanie na Aristaeusie było błędem poznawczym.

II

Zabawne, że nie domyśliłem się od razu. Mieszanina emocji – zaniepokojenia i podniecenia – zakłóciła moje zdolności racjonalnego myślenia. Może naukowcy powinni byli nieco bardziej podrasować mój umysł? Oczywiście ulepszyli go – potrafię myśleć o wiele, wiele szybciej niż przeciętny człowiek, rozwiązywać niezwykle złożone problemy, przewidywać wydarzenia w oparciu o złożone algorytmy grafowe i skomplikowane heurystyki, widzę i słyszę w szerszym zakresie, mam gigantyczną wiedzę, a moje zdolności społeczne są co najmniej nieprzeciętne. Ale nie jestem postczłowiekiem – jestem na granicy. Moi twórcy nie odważyli się dodać mi nowych, specjalnych modułów umysłowych, takich, których nie miałoby ludzie. Nie odważyli się scalić mnie w pełni z komputerem pokładowym (jemu z kolei, dla większej przewidywalności, nie dali samoświadomości) poprzez stworzenie sieci neuronowych odpowiedzialnych za niewyobrażalne nawet dla mnie zmysły, dzięki którym mógłbym się z nim kontaktować. Nie odważyli się także

pozbawić mnie żadnych większych elementów mózgu. Co najwyżej wyciszyli niektóre moduły umysłowe – na przykład popęd seksualny (tak, mam nawet pleć, jestem robotem mężczyzną!) albo potrzebę snu. Ucierpiałby jedynie podstawowe czynności fizjologiczne, cała reszta została. Mój umysł naśladuje umysł człowieka. Taka właśnie jest sztuczna inteligencja XXI wieku – pełna ludzkich zalet, ale także wad.

Zatopiony w rozmyśleniach, wpatruję się w horyzont. Co powinienem teraz zrobić? Próbować naprawić statek? Drukować gdzieś laboratorium? Czy najpierw zrobić rozpoznanie? Albo iść na wschód i szukać źródła sygnału? Dzięki temu może dowiem się, jaką bronią dysponują ci, którzy tak nieładnie potraktowali statek. Tak, chyba powinienem dowiedzieć się, co zniszczyło Enemaosa. A może...

Nagle dostrzegam jakiś niebieski zarys, coś, co wyraźnie różni się kolorem od barwy koron drzew, mniej więcej w odległości kilometra na wschód ode mnie. Przybliżam widok i zauważam powiewający fragment materiału; nie rejestruję jednak innych szczegółów, w dodatku po chwili dziwny obiekt znika mi z oczu. Jeśli jest to ta rzecz, o której myślę, to muszę działać szybko.

Schodzę ze wzgórza i idę w tamtym kierunku. Po chwili znajduję się w lesie i bez zatrzymywania podziwiam fascynujące drzewa. Dostrzegam ich niezwykle regularne liście – większość przypomina lekko wykrzywione pięciokątne foremne o poszarpanych krawędziach. Pokryte są czymś, co wygląda jak mięciutki, delikatny meszek. Mijając jedną z niższych gałęzi, zahaczam o nią ramieniem i, ku swojemu zaskoczeniu, dostrzegam, że poruszone liście zwijają się w całkiem sztywne igły. Mechanizm zabezpieczający? Tylko przed czym? Niestety, nie mam czasu na dokładniejszą analizę. Później zbadam, co odpowiada za tak gwałtowny ruch liści albo czym różni się ich budowa tkankowa i komórkowa od tych na Ziemi (o ile można

będzie tu mówić o komórce, co, patrząc na pewną konwergencję ewolucyjną z naszymi roślinami, jest całkiem prawdopodobne).

Idę przed siebie, wciąż bardzo podekscytowany, aż w końcu po czterech minutach zbliżam się do celu. Słyszę już trzepotanie materiału na wietrze. Przyspieszam kroku, a spomiędzy koron drzew wyłania się przede mną to, co widziałem, i to, czego tak naprawdę się spodziewałem. Pozaczepiana o gałęzie, postrzępiona i pobrudzona, wielka, niebieska płachta z dwunastoma złotymi gwiazdami tworzącymi okrąg – flaga Unii Europejskiej.

Podchodzę bliżej i przyglądam się jej uważnie. Skąd się wzięła na tym drzewie? Coś ją tam wciągnęło czy raczej porwał ją wiatr? I czemu jest w tak oplakany stan? Z nadzieją na odnalezienie odpowiedzi na te pytania zbliżam się do szerokiej podstawy drzewa i zaczynam się na nie wspinać. Z uwagi na stożkowy kształt pnia, będący efektem splątania kilkunastu mniejszych konarów, bez problemu wdrapuję się niemalże na wysokość korony i sięgam po flagę. Pociągam ją i widzę, jak dziesiątki liści, o które jest zaczepiona, zwijają się w sztywne, wąskie igielki. Zauważam, że liście różnią się kształtem od tych zaobserwowanych u stóp wzgórza – to z pewnością inny gatunek. Nieco nierozważnie szarpnię mocniej (może coś mieszka na tym drzewie?) i, rozrywając kawałek płachty, ściągam flagę. Schodzę na dół, analizując poszarpany materiał, niczego nowego jednak się nie dowiaduję: ot, potargany, pobrudzony kawałek niebieskiej szmaty z wyszytym symbolem.

I wtedy receptory czuciowe na mojej nodze informują mnie, że coś mnie dotyka. Powoli odwracam się i pierwszy raz dostrzegam obcego – prawdziwą, żywą istotę z innej planety niż Ziemia. Jej błękitno-fioletowy korpus, od boków którego odchodzi aż dziesięć par kończyn, jest obły i ma około pół metra długości. Przednia część ciała, wyraźnie oddzielona i nadająca się do nazwania „głową”, posiada pięć czerwonych guzków osadzonych na

niewielkich, masywnych wyrostkach. Od razu domyśliłem się, że guzki są jakimiś narządami zmysłów, prawdopodobnie oczami. Najciekawszy element głowy to jednak dwa złożone z segmentów, grube czułki wystające z przedniej części. Jeden z nich zwinięty jest w spiralę, a drugi uważnie bada moją nogę, co sugeruje, że znajdują się na nim jakieś receptory czuciowe. Co ciekawe, w zwierzęciu widzę wyraźne podobieństwo do jednego z organizmów żyjących kiedyś na Ziemi – wymarłego pięćset milionów lat temu anomalocarisa, będącego swoistym eksperymentem ewolucji, jednym z wielu, które wydarzyły się w czasie eksplozji kambryjskiej. Wprawdzie oba organizmy odróżniają kończyny – u anomalocarisa przypominały one raczej niewielkie, mało wyspecjalizowane płetwy, podczas gdy mój obcy posiada bardziej owadzie, segmentowane odnóża. Mimo to widoczne jest zaskakujące podobieństwo nie będące raczej efektem konwergencji, a zbiegu okoliczności, bowiem środowiska życia obu zwierząt diametralnie się różnią. Chyba że obcy kiedyś zamieszkiwali wody i przystosowali się do poruszania po lądzie. W takim wypadku nieudany na Ziemi eksperyment doboru naturalnego tutaj został zakończony ewolucyjnym sukcesem.

Obcy, którego roboczo chrzczę „anomalocaridem”, kończy badanie mojej metalowej łydki i zaczyna się wspinać wyżej. Jest wyjątkowo sprawny – zauważam, że ma bardzo gibki korpus, co oznacza brak sztywnego pancerza obecnego prawdopodobnie u prawdziwego anomalocarisa. Jestem trochę spięty, ale nie ruszam się i z zainteresowaniem obserwuję eksplorację w wykonaniu tauteczeńskiej istoty. Jej czułki dotykają teraz mojej klatki piersiowej, a ja dostrzegam pomiędzy nimi coś w rodzaju otworu gębowego. Nie ma w tym nic dziwnego – najkorzystniejszym miejscem dla narzędzia pobierającego pokarm (jak i dla narządów zmysłów oraz mózgu) jest przednia część ciała – pomaga to w przyspieszeniu reakcji na bodźce. Wygląda

na to, że zwierzę to drapieżnik lub padlinozerca, wewnątrz paszczy bowiem znajdują się niewielkie, zakrzywione ząbki.

W końcu anomalocaris schodzi ze mnie i rusza w swoją stronę. Mogę bez wątpienia stwierdzić, że nie jest to członek cywilizacji, która skontaktowała się z Ziemią – jego poziom inteligencji określiłbym jako, mówiąc delikatnie, marny (algorytm „nie atakuje plus nie da się zjeść, więc ignoruję” raczej nie należy do specyfikacji inteligentnej sieci neuronowej). Chętnie zbadałbym go dokładniej, ale wiem, że nie mogę sobie jeszcze na to pozwolić – znalezienie flagi utrwaliło mnie w przekonaniu, że jak na razie muszę dowiedzieć się, co się stało ze statkiem. Przez parę sekund patrzę za odchodzącym obcym, a po chwili zaczynam związać zrzucony z drzewa kawałek materiału, zastanawiając się, co zrobić dalej. Jeśli będę wciąż kierował się na wschód, być może znajdę jeszcze jakieś ślady związane z uszkodzeniem Ene-maosa. W dodatku idąc w tamtym kierunku, prawdopodobnie dotrę do źródła, które emitowało ciąg Fibonacciego. W przypadku, gdy znajduje się ono w czymś w rodzaju miasta, nie będzie problemu; gorzej, jeśli zostało ukryte gdzieś w lesie lub pod ziemią. To prawdopodobna możliwość – jak na razie Aristaeus nie wygląda mi na zdominowanego przez zaawansowaną cywilizację (choć równie dobrze mógłbym dojść do analogicznego wniosku, łądując na Ziemi w środku lasu równikowego).

Podejmuję decyzję – ruszam na wschód. Cały czas staram się kontrolować korony drzew, by nie przeoczyć żadnego śladu – nie wiem w końcu, skąd flaga wzięła się pomiędzy gałęziami. Po dwudziestu minutach podróży napotykam drugiego anomalocaris, a w ciągu kolejnej godziny marszu jeszcze kilku osobników, różniących się od siebie wieloma szczegółami, takimi jak kolory, rozmiary, liczba kończyn, brak czułków czy obecność wystających z grzbietu

kolców. W pewnym momencie dostrzegam nawet dwa stworzenia całkowicie odmienne od reszty, ale – co ciekawe – także kojarzące się żyjącymi w kambrze ziemskimi organizmami: jeden z nich wygląda, jakby był zrobiony z samych kolców połączonych stawami, a drugi kojarzy mi się ze spłaszczonym grzbietowo-brzusznym węzem. Ich fantazyjne, niepasujące do moich przyzwyczajęń kształty wydają mi się niezwykle piękne. Z czasem zaczynam też rozróżniać kilka rodzajów leśnych roślin. Wszystkie obserwacje zapisuję, tworząc wstępną wersję cyfrowej biblioteki życia na Aristaeusie, przy żadnym organizmie jednak nie zatrzymuję się na dłużej.

Po półtorej godzinie marszu drzewa zaczynają się stopniowo przerzedzać, aż wreszcie całkowicie wychodzę z lasu i wkraczam w pustą przestrzeń poprzecinaną niewielkimi, zaskakująco kształtnymi wzgórzami. Jestem od nich jednak oddzielony czymś, co wygląda jak ciągnący się z północy na południe kanion. Zbliżyłem się do niego, a moje podejrzenia się potwierdzają – dalszą drogę zagradza mi szeroka na kilkanaście metrów przepaść. Podchodzę do krawędzi, zerkam w dół i siedemdziesiąt metrów niżej widzę rzekę, z pewnością utworzoną przez wodę. Z przeprowadzonych jeszcze na Ziemi badań promieniowania tau Ceti, które przeszło przez atmosferę Aristaeusa, wiem, że na planecie znajduje się woda, ale prawdopodobnie nieco inna niż ta na Ziemi – znaczna jej ilość nie jest oparta o zwykły wodór, a o jego izotop – deuter.

Rozglądam się, szukając jakiegoś zwężenia, które umożliwi mi skok, ale niczego takiego nie znajduję. Mam jednak szczęście – dostrzegam samotne, złamane drzewo tworzące naturalny most nad kanionem. Idę w jego kierunku i, gdy jestem już blisko, zatrzymuję się zaskoczony. Nie mam do czynienia z naturalnym mostem – drzewo zostało ścięte narzędziami: od strony, po której właśnie się znajduję, widać charakterystycz-

ne, niezwykle równe cięcia. Kiwam głową, przyglądając się uważniej, i łączę w wyobraźni kolejne elementy układanki. Następnie, nie tracąc więcej czasu, wchodzę na pień i przekraczam kanion. Z coraz dokładniejszymi danymi ruszam dalej po pagórkowatym terenie pokrytym ciemnozieloną, niską, podobną do trawy roślinnością.

Mija czas. Po dwóch i pół godzinie od wyjścia ze statku zaczynam wątpić, czy dobrze postąpiłem. Być może powinienem przeszucać las dookoła Enemaosa? Albo uważniej rozejrzeć się wokół drzewa z flagą? Mimo to konsekwentnie kieruję się na wschód i wreszcie, będąc na jednym ze wzgórz, znajduję coś interesującego: w odległości może dwustu metrów ode mnie dostrzegam zarys metalicznego przedmiotu, który po chwili wyostrzenia obrazu mogę zidentyfikować jako ciało. Ciało robota.

Ruszam biegiem, błyskawicznie przemierzając dzielącą mnie od niego odległość. Zauważam, że części robota rozrzucone są po sporej przestrzeni. Lokalizuję korpus, przy którym widzę iskry i nieznaczny ruch na wpół odciętej głowy. A więc żyje! W kilka susów znajduję się przy nim i klękam, zauważając znajome części. Oto ostateczne potwierdzenie moich podejrzeń i ostatni element układanki. Mam przed sobą Jingiego Libbsa 2100.

III

Bestia atakuje z boku. Momentalnie odskakuję od uszkodzonego Jingiego i robię unik, analizując wygląd napastnika. Ogólną budową przypomina inne żyjące tu stworzenia, ale różni go od nich sporo istotnych cech. Jest wielki, długość jego korpusu sięga dwóch metrów, ponadto ma tylko sześć par kończyn, które w zamian za to zbudowane są z większej liczby masywniejszych segmentów. Ze szczytu czerwonego grzbietu wystaje pionowy garb, a po jego bokach wyrastają

długie, ciemne skrzydła. Na głowie anomalocaris ma pięcioro oczu, długie czułki i wyraźnie zarysowany aparat gębowy, wyposażony w żąbkowaną powierzchnię, a także w parę niewielkich szczypic, będących zapewne zredukowanymi odnóżami.

Zwierzę ląduje tuż obok mnie, a ja robię kilka małych kroków w tył i przygotowuję laser bojowy. Gigantyczny anomalocaris jest jednak szybki. Błyskawicznie odbija się od ziemi mocnymi kończynami i w ułamku sekundy mnie dogania. Jednym z przednich odnóży, które, jak zauważam, zaopatrzone są w dwa ostre pazury, próbuje trafić mnie w korpus, ja jednak osłaniam się lewą ręką i, uświadamiając sobie, jak silny jest mój przeciwnik, z dużym trudem paruję cios. W odpowiedzi uderzam go prawą ręką w głowę, celując w jedno z pięciu czerwonych oczu. Trafiam, a anomalocaris wydaje z siebie dziwaczny klekot i wspina się na tylne kończyny, stając przede mną niemalże w pionie. Widzę żółtawy brzuch bestii i najszybciej, jak potrafię, celuję w niego laserem. Ranię go, wypalając mu sporą dziurę w zewnętrznej powłoce, tak naprawdę nie wiem jednak, jak poważne obrażenia mu zadają. Na pewno go boli, zwierzę bowiem szybko opada do poziomej pozycji, po czym znów mnie atakuje, tym razem obydwoma przednimi odnóżami. Rzucam się w tył i tuż przed moją klatką piersiową słyszę świst przecinanego przez ostre pazury powietrza. Uderzam plecami o podłoże i jak najszybciej turlam się, widząc, jak anomalocaris z wściekłością ryje ziemię w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą się znajdowałem.

W tym momencie słyszę przeciągły, odległy i potężny grzmot. Anomalocaris rozprasza się na chwilę i odwraca w kierunku zachodnim, z którego dochodzi dźwięk, zanim jednak zdąży to wykorzystać, zwierzę znów rzuca się do ataku, jakby otrząsając się z namysłu. By nie zostać zmiażdżonym, odpycham się mocno łokciem od ziemi

i staję na nogi, robiąc kolejny unik. Następnie wyciągam przed siebie rękę i strzelam w anomalocaris, tym razem trafiając w głowę. Zwierzę zaczyna klekotać, cofa się odrobine, ale po chwili ponownie napiera, jakby przyzwyczajając się do wypalającego mu dziury w ciele lasera. Robię dwa kroki w tył, cały czas raniąc przeciwnika, obcy jest jednak bardzo wytrzymały.

Rozlega się kolejny odległy grzmot, znów przykuwając uwagę anomalocaris, tym razem jednak zwierzę zatrzymuje się na nieco dłużej, patrząc w stronę źródła dźwięków. Korzystam z okazji i strzelam dokładnie w jego oko. Bestia podskakuje gwałtownie i zaczyna się kręcić wokół własnej osi. Dźwięk grzmotu wciąż trwa – jest wyjątkowo długi, a w dodatku po chwili nakłada się na niego kolejny. Widać zbliża się tu naprawdę spora burza. Anomalocaris tymczasem rezygnuje. Odwraca się do mnie tyłem i zaczyna uciekać. Przerywam ostrzał, gdy obcy wzbija się w powietrze, machając długimi, szerokimi skrzydłami, robi nade mną koło i odlatuje na wschód. Wygląda na to, że walka jest skończona.

Podbiegam do ciała Jingiego, czy raczej: Jingiego Pierwszego, i sprawdzam, jakie ma uszkodzenia. Jego głowa jest w połowie roztrzaskana, a z korpusem łączy się tylko kilka kabelkami i jednym mięśniem pneumatycznym.

– Uciekaj stąd – mówi do mnie niespodziewanie, nieco zniekształconym głosem. – Anomalocaris... będą atakować. – Nazwał je tak samo, jak ja. Cóż, w końcu jestem jego idealną kopią.

– Już odleciał – mówię, próbując zabezpieczyć drogi eferentne wychodzące z jego szyi. – Przestraszył się burzy.

– Zbliża się burza? – pyta, a w jego metalicznym głosie da się słyszeć ludzkie zaniepokojenie.

– Tak, grzmi jak cholera – odpowiadam, zerkając na zachód, skąd dochodzi ciągły, narastający łomot.

Jingi Pierwszy milczy chwilę, jakby nasłuchując, a mnie udaje się zabezpieczyć wszystkie nerwy. Teraz zabieram się za całkowite odpięcie głowy od korpusu.

– Faktycznie – mówi w końcu. – Jest już blisko, jakieś trzydzieści kilometrów. Będzie tu za piętnaście minut.

– Tak szybko? – dziwię się.

– Są bardzo szybkie – wyjaśnia.

Kończę odpinanie jego głowy, podnoszę ją i ustawiam twarzą w moją stronę, tak by mnie widział.

– Biorę cię ze sobą – mówię mu.

– Dzięki – odpowiada. – Wiedziałem, że...

– Mamy te same mózgi – przerywam mu szybko. Nie przepadam za kłiwymi momentami.

– Dokładnie. – On też nie przepada. – Słuchaj, musimy dostać się do ich miasta.

– Do miasta? Czyjego? – pytam zdziwiony.

– Miasta tych dużych anomalocarisów...

Przerywa na chwilę, jakby zbierając siły, po czym kontynuuje:

– Bo widzisz... te burze... To są prawdziwe cholery. Prędkość wiatru dochodzi do trzystu kilometrów na godzinę, a pioruny walą wszędzie. Musimy się ukryć.

– Ale czemu w ich mieście?

– Nie zdążymy nigdzie indziej. Moglibyśmy schować się w kanionie, postawiłem w nim laboratorium, ale to za daleko. A w ich mieście jest...

– Co?

Jingi Pierwszy wydaje z siebie dziwny chrzęst, który zapewne ma być śmiechem.

– Nie pozbawię cię tej przyjemności – mówi. – Sam się przekonasz. A teraz w drogę. Miasto obcych znajduje się jakieś dwa kilometry stąd na wschód.

Nie mając innego wyjścia, ruszam posłusznie przed siebie, po kilku metrach jednak przystaję, zauważając ciało dużego anomalocaris, podobnego do tego, który mnie zaatakował.

– A to co? To ten sam, co przed chwilą odleciał? – pytam, odwracając głowę Jingiego w stronę zwłok.

– Nie – odpowiada. – Ja go zabiłem. Odciągnąłem od miasta i zabiłem.

– Przez ciebie będą agresywne – mówię z wyrzutem, ruszając dalej.

– Nonsens – odpowiada pewnym tonem. – Generalnie są pokojowo nastawione. A teraz zaatakowały nas, bo uruchomiłem u nich jednorazową, zaprogramowaną przez dobór naturalny reakcję.

Patrzę na niego chwilę w milczeniu.

Z każdą minutą Jingi Pierwszy musi mówić coraz głośniejsze, odległe grzmoty bowiem nasilają się. W dodatku trawopodobna roślinność porastająca pagórkowaty teren niespodziewanie głośno szeleści, wprawiona w ruch przez coraz silniejszy wiatr.

– Skoro są takie głupie, to skąd wziął się ciąg Fibonacciego? – pytam. – No i co z tym miastem? Jak głupie istoty zbudowały miasto?

– Wszystko w swoim czasie – odpowiada



© Monika „Moon” Szymarska

– One są jak pszczoły – wyjaśnia. – Mają taki mechanizm, że jak jeden jest ranny, to wydziela substancje chemiczne, które wzbudzają agresję w innych, znajdujących się w pobliżu. To przystosowanie. Odciągnąłem jednego z nich od miasta, stukając patykiem w swoją rękę...

– Serio? – przerywam mu.

– Spodziewałeś się czegoś więcej, nie? – pyta rozbawionym tonem. – Ta, jak i ja, gdy byłem jeszcze na twoim etapie. No więc, Jingi Libbsie Drugi, te stworzenia są głupie jak buty.

tajemniczo.

– Czy ja też bawiłbym się w takie gierki?

– Pewnie tak. Tu nie chodzi o gierki. Robię to dla ciebie. Chcę, żebyś miał trochę przyjemności, gdy już tam będziemy. Żebyś sam na to wpadł.

– No dobrze... – Rezygnuję. – Więc czemu go zabiłeś?

– Och, po kilku dniach badań nad tymi mniejszymi – odpowiada – stwierdziłem, że czas dowiedzieć się czegoś o układzie nerwowym większych. Ale nie doceniłem ich

– wyczuły to z tak dużej odległości. Gdy transportowałem ciało do laboratorium, zaatakowały mnie trzy z nich. Są bardzo wytrzymałe, nie miałem szans. Szczerze mówiąc, obawiałem się, czy ci się aby na pewno uda.

– No właśnie. Enemaos padł, a ja nie miałem dostępu do żadnych danych.

– Ależ nie, wcale nie padł. – Głos Jingiego Pierwszego ledwo do mnie dociera, zaczyna się robić naprawdę głośno. – Gdy zorientowałem się, co za burze tu szaleją, pobiegłem do statku i po prostu odciąłem panele. Nie chciałem, żeby coś uległo uszkodzeniu, gdy burza będzie nim poniewierać. Zostawiłem jedynie drukarkę, bo ona i tak jest niezniszczalna. Nawet jakby cały statek rozpadł się w pył, to ona by działała.

– Więc to nie obcy, a burza poturbowała statek... Ale to i tak było bardzo nierozsądne, nie miałem dostępu do żadnych twoich danych! Przez to na początku myślałem, że to ja tu wylądowałem... Dopiero potem zorientowałem się, że wrażenie ciągłości jest tylko iluzją.

– Tożsamość zawsze jest iluzją – odpowiada. – Ale masz rację, to było nierozsądne. Myślałem, że wszystko mam pod kontrolą. Ta planeta działa jak zegarek, jest bardzo przewidywalna. Ale nawet roboty popełniają błędy i nie przewidzą oczywistego.

Od pewnego czasu za każdym razem, gdy jesteśmy na szczycie jakiegoś wzgórza, zerkam na południe – widzę tam bowiem sporo różnokształtnych, niezwykle różnorodnych taucetańskich zwierząt, które wszystkie bez wyjątku ciągną w kierunku północno-wschodnim.

– To ile czasu tu jesteś? – pytam w końcu swojego oryginału.

– Dwieście jednaście ziemskich godzin. Zebrałem już dużo danych. Przykładowo wiem, że te lasy mają mechanizm obronny przed wylądowaniami elektrycznymi, coś w rodzaju piorunochronów. W dodatku kształt drzew jest przystosowany do opierania się silnym wiatrom, a liście zwijają się w igły,

by podczas burzy nie oderwało ich od gałęzi. Wszystko tu ewoluuje zdeterminowane tymi burzami. To jeden z ważniejszych czynników, które ukształtowały tutejsze życie. Przypomina drapieżnictwo, z tym, że drapieżnikiem jest superpotężna nawałnica, a ofiarami wszystkie organizmy.

– A zwierzęta? Jak one się bronią? Uciekają? – mówiąc to, unoszę jego głowę i pokazuję na stada dziwacznych zwierząt, z którymi zaczynamy się mijać. Jingi Pierwszy jednak nie odpowiada.

– Zobaczę, tak? – pytam.

– Tak. Ale mogę ci powiedzieć, że jest tu sporo gatunków i wbrew pozorom nie wszystkie są do siebie podobne. Początkowo, gdy badałem las, wydawało mi się, że życie jest tu mniej różnorodne niż na Ziemi. Ale po tej stronie kanionu sprawa wygląda inaczej. Zaraz zresztą zrozumiesz czemu. W każdym razie opisałem już dwieście trzydzieści osiem typów zwierząt.

Przed nami pojawia się znacznie większe wzgórze od poprzednich. Tymczasem ciemne chmury, ciągnące z zachodu, są tuż nad naszymi głowami. Odwracam się za siebie i, ku swojemu zaskoczeniu, dostrzegam jedynie zasłaniającą horyzont szarą ścianę deszczu, w której widać setki jasnych rozbłysków. Pioruny uderzają z niespotykaną na Ziemi, wręcz niewyobrażalną częstotliwością – naliczam co najmniej pięćdziesiąt na sekundę. Teraz już wiem, czemu dudnienie grzmotów trwa nieprzerwanie.

– Musimy się pospieszyć – zauważa Jingi Pierwszy, starając się przekrzyczeć nawałnicę. Ruszam biegiem pod górę, wchodząc coraz wyżej. Zaczyna padać deszcz, przez co ślizgam się na porastających ziemię krótkich źdźbłach. Rozlega się potężny huk piorunu, bardzo blisko nas.

– Daleko jeszcze? – pytam, ale Jingi nie musi odpowiadać. Wchodzę na szczyt wzgórza i widzę przed sobą przypominającą krater rozległą dolinę, wypełnioną setkami jasnożółtych

budynków. Mam przed sobą miasto obcych.

– Jesteśmy! – krzyczę.

– Dokładnie. Teraz idź w dół, między budynki.

Zaczynam schodzić ze wzgórza, krocząc pośród mnogości niewielkich stworzeń podążających w tym samym kierunku. Uświadamiam sobie, że stada, które widziałem, ciągnęły do miasta.

– Wszystkie zwierzęta tu idą – dzielę się swoim spostrzeżeniem z moim towarzyszem.

– Racja – odpowiada lakonicznie. – Tak jak my, chronią się przed burzą.

Schodząc ze wzgórza, przyglądam się architekturze miasta. Wszystkie budynki są do siebie podobne – mają kształt szerokich u podstawy stożków o nieregularnych szczytach. W żadnym z nich nie widać okien ani światła. Z tej odległości budulec, z którego powstały, przypomina coś w rodzaju żółtawej gliny. Zauważam, że powierzchnia ścian nie jest idealnie równa – określiłbym ją raczej jako niechlujnie wykończoną. Wysokość większości budowli oscyluje w okolicy trzech metrów, jest jednak kilka konstrukcji gigantycznych. Na samym środku miasta, a także na jego obrzeżach, znajdują się naprawdę wielkie, górujące nad pozostałymi stożki, przypominające wieże strażnicze. Ich wysokość – obliczam szybko – wynosi kilkadziesiąt metrów, ale to nie stąd odczucie ogromnego rozmiaru. Odpowiedzialne za nie są niezwykle szerokie podstawy budowli, sprawiające wrażenie, że cały stożek został rozplaszczony przez jakiś gigantyczny, sięgający z nieba palec.

Pomiędzy wszystkimi budynkami krzątają się tysiące dużych anomalocaridów – podobnych do tego, który mnie zaatakował. Pojedyncze osobniki znacznie się od siebie różnią – niektóre mają kilkumetrowe skrzydła, inne w ich miejscu kolce, jeszcze inne węższe bądź szersze korpusy. Najtęższe osobniki bez wątpienia zajmują się budowaniem lub naprawianiem struktur miasta – część z nich siedzi na mniejszych, jakby niedokończonych budyn-

kach, a kilka dostrzegam nawet na jednym z wielkich stożków. Przypomina mi to podział na coś w rodzaju kast, podobny do tego, który obserwujemy u ziemskich termitów. Wokół dużych anomalocaridów kręci się mnóstwo mniejszych stworzeń – takich, które już widziałem, a także takich, które widzę pierwszy raz. Czemu te wszystkie zwierzęta zebrały się w tym mieście? I czemu tu jest bezpiecznie?

Nagle dzieje się coś niezwykłego. Rozlega się potężny huk, głośniejszy niż grzmoty. Ułamek sekundy wcześniej szczyt centralnego stożka rozbłyska jasnym, złotawym światłem, które zaczyna rozlewać się spiralą logarytmiczną po jego ścianie. Po niecałej sekundzie następuje drugi huk i drugi błysk, a spirala znika mi z oczu, wchodząc teraz na niewidoczną dla mnie część konstrukcji, by chwilę później znów wyłonić się od drugiej strony i rozbłysnąć w towarzystwie głośniego dźwięku. Linia światła jednostajnym ruchem rozpadła kolejne fragmenty ścian stożka i ponownie, po nieco dłuższej przerwie, eksploduje jasnym światłem.

– Patrz w niebo – wrzeszczy do mnie Jingi Pierwszy, a ja unoszę głowę i krzyczę zaskoczony. Burza, która jeszcze przed chwilą wtaczała się nad miasto, zaczyna się wycofywać! Rozlega się kolejny huk i wyraźnie widzę, jak fragment chmury kurczy się, zwijając się w spiralny kłęb. Przypomina to nieco chowanie się czułków ślimaka po dotknięciu ich jakimś przedmiotem. Zafascynowany patrzę w niebo i widzę, jak przy kolejnych, coraz rzadszych uderzeniach burza oddala się na zachód.

Nagle uświadamiam sobie, że mimowolnie liczyłem czas uderzeń. Różnica między pierwszym a drugim to 0,8 sekundy, między drugim a trzecim 1,5 sekundy, między trzecim a czwartym 2,3 sekundy... Sygnał, który odebraliśmy na Ziemi! Ciąg Fibonacciego zakodowany w czasie!

Rozradowany wybucham głośnym śmiechem. Teraz rozumiem, czemu Jingi Pierwszy

nie chciał mi powiedzieć tego od razu – takie odkrycia, jak to, dają prawdziwą frajdę.

– To nie była żadna wiadomość! – krzyczę, nie mogąc przestać się śmiać. – Oni nas wcale nie zapraszali!

IV

Spoglądam pobieżnie na zebranych na sali dyskutujących dziennikarzy, po czym skupiam wzrok na wyświetlanych na ścianach obrazach, przedstawiających przykłady występowania spirali Fibonacciego w przyrodzie: muszle bezkręgowców, kształty szyszek, embriony, gigantyczne, świetliste galaktyki i wiele, wiele innych. Pomiędzy nimi jest także zdjęcie z lotu ptaka przedstawiające Maszynę, jak nazwano wielki stożek ze stanowiska CC1 na Aristaeusie. Cóż, nie tylko życie na Ziemi upodobało sobie tę elegancką strukturę matematyczną.

– Proszę kontynuować, panie Libbs – zachęca mnie przewodniczący konferencji prasowej, kończąc ucieszenie dziennikarzy. W ciągu mojej studziesięcioletniej nieobecności na Ziemi zmieniło się bardzo wiele (choć, co mnie wielce zmartwiło, ludzie wciąż nie podróżują latającymi samochodami), ale podstawowe mechanizmy informowania opinii publicznej zostały zachowane.

– Nasza spirala – zaczynam, zerkając na hologramowy obraz miasta obcych, umiejscowiony na środku sali – tworzona jest przez połączone ćwiartki okręgów, których promieniami są, po stosownym podstawieniu, liczby Fibonacciego. Nazywanie jej „złotą” to zatem pewne nadużycie, mamy tu do czynienia po prostu ze spiralą Fibonacciego. Długość pierwszego promienia wynosi 1,2 metra, drugiego 2,4, trzeciego...

Na twarzy zebranych zaczyna być widoczna irytacja, ignoruję to jednak i nie przerywam. Wiem, że akurat te szczegóły kompletnie ich nie obchodzą. Nie mogę się dziwić, w końcu dla mnie też najciekawsze były zupełnie inne

kwestie. Jednak i na nie przyjdzie czas. Dziennikarze muszą czekać.

Gdy kończę opowieść o promieniach, przechodzę dalej:

– Prędkość rozświetlania spirali wynosi około 2,45 metra na sekundę, a impulsy są emitowane za każdym razem, gdy czoło świetlistej linii dociera do takich oto zagłębień. – Na hologramowym obrazie pojawiają się żółtawe ściany stożka z widocznymi okrągłymi dziurami na jego powierzchni. – Licząc długość powstałej między zagłębieniami linii, otrzymamy następujące wartości: od pierwszego do drugiego zagłębienia około 1,9 metra, od drugiego do trzeciego 3,8 metra, potem 5,7 metra... – Wymieniam kolejne liczby i widzę, jak zniecierpliwienie dziennikarzy sięga zenitu. Nie pomijam jednak żadnego z jedenastu odcinków. W końcu przechodzę do bardziej interesujących tematów, powoli zaczynając zaspokajać ciekawość zebranych:

– Po moim transferze rozpoczęły się badania nad samą technologią stożka i techniką budowania go, jednak już wcześniej zauważyliśmy, że całe miasto skonstruowane jest na planie pięciokątów foremnych. – Teraz z kolei hologramowy model miasta obraca się o dziewięćdziesiąt stopni, po czym zostaje przykryty matematyczną siatką, pełną figur geometrycznych. Po chwili obraz skupia się na samym stożku. – Przypatrzmy się tym oto śladom znajdującym się na ścianie. Tworzą one fragment pentagramu, który jest prostym narzędziem do skonstruowania spirali Fibonacciego. Pytania sprawiające nam...

Urywam, widząc las rąk, które na słowo „pytania” poszybowały w górę.

– No dobrze – lituję się nad zebranymi. – Proszę pytać, po kolei, może od lewej.

– Czy dobrze zrozumiałem – podejrzliwym tonem odzywa się pierwszy upoważniony do głosu dziennikarz – że to są pentagramy?

W takich chwilach, jak ta, żałuję, że nie mogę wyrwać oczami, unieść brwi albo chociaż zmarszczyć czoła.

– Ma pan bardzo dobry słuch – chwałę go uprzejmie.

– Jest pan robotem, ale zapewne wie pan, czego symbolem...

– Przejdźmy dalej. – Przewodniczący konferencji „ratuje dzień”. Kiwam z wdzięcznością głową i wskazuję kolejną osobę.

– Jak one to robią? – Pytanie zadaje bardzo atrakcyjna dziennikarka z włosami długimi do połowy pleców. – Skąd wiedzą, jak budować tak dokładną, matematyczną strukturę?

– Na obecnym poziomie badań mogę powiedzieć jedno: one prawdopodobnie nie wiedzą, jak budować stożki. – Nie wiedzą?

– Dokładnie. Czy na przykład wie pani, jak trawic? Nie, a jednak trawi pani to, co pani połknie. Tak samo jest z anomalocaridami.

– Więc co sprawiło, że one to budują?

– To samo, co sprawiło, że w pani jelitach zachodzi trawienie. – Fakt, mogłem wybrać inną analogię. – To dobór naturalny. Dobór naturalny wykształcił u nich mechanizm psychiczny budowy Miasta i Maszyny, ich zachowanie jest zakodowane w układzie nerwowym.

– Jak budowanie mrowisk przez mrówki? – odzywa się kolejny dziennikarz.

– Właśnie tak. To dobre porównanie, już zresztą próbujemy symulować ewolucję organizmów konstruktorów żyjących tu, na Ziemi, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat pojawienia się u anomalocaridów zachowań prowadzących do budowy tak złożonych struktur jak Miasto i Maszyna. To bardzo pouczające. Przykładowo, ziemskie termity tworzą gigantyczne, złożone termitiery posiadające systemy wentylacyjne i wiele kondygnacji przeznaczonych do różnych celów. Pająki potrafią budować niezwykle zgrabne z punktu widzenia matematyki obiekty, jakimi są pajęczyny, które dzięki idealnie dopasowanym odległościom między niemi są świetną pułapką na owady. Pszczoły natomiast konstruują ule pełne plastrów, na których umieszczają idealnie symetryczne,

sześcioramienne komórki, używając do pomiarów jedynie swoich odnóży.

Wskazuję następną osobę, bardzo młodą kobietę.

– Skąd urządzenie czerpie energię i jak to dokładnie działa? – Zadaje pytanie, wstając.

– Niestety, tego jeszcze nie wiemy. Trwają badania.

– Czyli zamierzacie zbadać całe miasto?

– Naturalnie, całe miasto i całą planetę. Nasza kolonia bardzo szybko się powiększa, stworzyliśmy już dwadzieścia swoich kopii, które ruszyły w różnych kierunkach, by zakładać laboratoria.

– A jeśli to jednak nie te stwory budują Maszyny? – pyta kolejna osoba.

– Rzecz jasna nie wykluczamy innych możliwości, takich jak obecność jakiegoś nieznanego nam jeszcze gatunku, inteligentnego i zaawansowanego technologicznie, który w jakiś sposób wyposażył w tę broń anomalocaridy.

– Może coś spoza planety?

– Tak, nie wykluczamy takiej możliwości.

– Na przykład... Bóg? – sugeruje inny dziennikarz.

Milczę przez chwilę, po czym odpowiadam:

– Nauka nigdy nie dowiedzie, że interwencje boskie nie mają miejsca. Ale wie pan, nauka też nie szuka wyjaśnień w wierze.

– Ale póki co, nie macie żadnych dowodów potwierdzających wasze przypuszczenia?

– Jak na razie – nie mamy. To tylko hipotezy.

Pewnie Jingi Libbs Pierwszy oraz mój oryginał, Drugi, już dawno znaleźli odpowiedź na wszystkie te pytania – mieli na to sporo czasu. Pomimo tego że moja świadomość mknęła na skrzydłach fal radiowych z prędkością światła, to i tak przesył trwał dwanaście lat. To oznacza, że w przestrzeni kosmicznej pędzą teraz jeszcze sto czterdzieści cztery kopie mnie – mój oryginał teleportował się regularnie co miesiąc, by ludzie na

Ziemi mogli mieć bezpośredni i bieżący kontakt z kimś, kto był na obcej planecie. I żeby sponsorzy ESA oraz finansujące ją rządy odzyskały choć część zainwestowanych pieniędzy. Misja w końcu potoczyła się zupełnie inaczej, niż pierwotnie się spodziewano – sto miliardów euro nie zostało wydane na kontakt z obcą cywilizacją. Zostało wydane na obserwowanie życia pszczoł budujących walczące z burzami, gigantyczne ule.

V Kończę przesyłanie swojej świadomości na Ziemię, po czym kładę się na plecach i patrzę w kształtne chmury toczące się przez błękitne niebo Aristaeusa. Sprawia mi to przyjemność – niezwykle ważne uczucie, poprawiające w znaczny sposób jakość działania zaawansowanych funkcji układu nerwowego. Po lewej ode mnie drukarka wciąż jeszcze wypłuka kolejne elementy większego laboratorium, które niedługo umożliwi nam dokładniejsze zbadanie sposobu działania tajemniczych stożków. A nieco dalej jeden z anomalocarisów z Miasta taszczy ze sobą jakiś wielki patyk, przypominając tym zachowaniem mrówkę.

– Wiesz co, Pierwszy? – odzywam się przez radio do mojego oryginału, który znajduje się teraz po drugiej stronie doliny, budując tam inny ośrodek badawczy.

– No?

– Darwin też miał podobny problem, tyle że z okiem.

– Owszem – mówię lakonicznie.

– Jego żona stwierdziła – kontynuuję – że oko wydaje się zbyt złożonym narządem dla teorii ewolucji; że nie jest możliwe, by powstało w efekcie doboru naturalnego. Jak bowiem, argumentowała, mogłaby się komuś przydać połowa oka? Według niej musiało ono powstać przez ingerencję istoty boskiej.

– Masz rację – przyznaje. Ma przecież taką samą wiedzę, jak ja. – Jak wiemy jednak, oko wyewoluowało na naszej planecie wielokrotnie i niezależnie. Modele matematyczne

pokazują, że jest to bardzo prosty i oczywisty proces.

– Dokładnie. Ale żona Darwina o tym nie wiedziała. Miała zbyt mało danych, by na to wpaść. Być może my również mamy zbyt mało danych o maszynie przeganiającej burzę. Po prostu nie wiemy jeszcze, jak ona powstawała, by wpisać ją bez wątpliwości w paradygmat ewolucyjny.

– To sensowny argument – rozumie mnie Jingi Pierwszy. – Tak, jak mówiłem, wszystko ewoluowało tu przeciwko tej burzy. Chyba faktycznie lepiej założyć lukę w naszej wiedzy, niż sugerować, że jakaś inna cywilizacja nauczyła ich budować te urządzenia.

– Taaak... – Unoszę dłoń i przyglądam się zwierzęciu wielkości szerszenia, które właśnie na nią weszło. – Kto by pomyślał, że ewolucja może doprowadzić do powstania technologii bez inteligencji. Ciekawe, czy gdyby były odpowiednie warunki, mogłby w jej efekcie powstać, dajmy na to...

– Komputer – uzupełniam.

– No właśnie, komputer. – Śmieję się. – Musimy to kiedyś zasymulować. – Niewielki organizm schodzi z mojej ręki i odchodzi w swoim kierunku w celu, którego zapewne nawet on sam nie pojmuje. – Tak czy inaczej, Jingi, warto było lecieć tu przez sto lat, by przekonać się, że tak naprawdę całe te marzenia ludzkości o analizowaniu tajemnic wszechświata z obcą cywilizacją okazały się gównie warte.

Podnoszę się na łokciach i wpatruję się w tętniące życiem miasto obcych. Bez wątplenia czekają nas tu tysiące badań i tysiące fascynujących odkryć naukowych, być może bardziej zaskakujących niż stożkowate maszyny anomalocarisów. Jestem na prawdziwie ludzki sposób szczęśliwy i staram się delektować tym uczuciem. Cóż, już teraz zapisaliśmy się w historii, a to dopiero początek. Przed nami wieczne życie, które spędzimy, rozwijając najwspanialszy wynalazek człowieka – naukę. Przed nami wieczne życie w raju. ■

Jak to się robi w Zaskrzypiu

Paweł Majka

I

Gdy rudowłosy wchodził do miasta, nie spojrzął na niego nawet pies z kulawą nogą. Jedynie kilku ślepych żebraków skierowało głowy w jego kierunku. Spostrzegłszy jednak, zapewne ponadmysłowo, że to golec, i oni pozostawili go w spokoju. Nienagabywany przemierzył więc główną, a przy tym jedyną ulicę, i dopiero, gdy zbliżył się do gospody, niespokojny wiatr zmierzwił jego niecodziennego koloru czuprynę.

Pchnął drzwi. Nie ustąpiły. Kopnął w nie i odczekał chwilę.

Deski zaskrzypiały pod czymiś ciężkimi krokami.

– Czego? – odezwał się chropowaty głos, jakiego nie powstydzilyby się nawet zasypane piaskiem wszystkich pustyni świata zawiasy. – Nie widzi, że zamknięte?

– Jestem umówiony – nie tyle odpowiedział, co odwarknął nieznajomy tym rodzajem głosu, jaki można sobie wyrobić, podrzy-nając od siódmego roku życia gardła.

– Wszyscy tak mówią, a ja potem muszę zmywać krew i pozbywać się trupów – marudził gospodarz, otwierając jednak. Kiedy już usunął ostatnią zasuwę i odpiął ostatni łańcuch, uchylił drzwi i zamilkł natychmiast, i tylko spoglądał na przybysza z rozdziawioną gębą. Nieznajomy był bowiem równie umięśniony, co gospodarz brzuchaty, tyleż wysoki, co gospodarz niziutki i tak ponuro milczący, jak gospodarz gderliwie rozgadany. Dwa archetypy przyglądały się sobie nawzajem w milczeniu, po czym ten niższy, doko-

nawszy kilku oczywistych spostrzeżeń, ustąpił drogi wyższemu.

Nieznajomy wkroczył do izby zwyczajem tajemniczych zabijaków krokiem tyleż zdecydowanym, co powściągliwym, nie wyzywającym wprawdzie, ale jasno dającym do zrozumienia wszystkim obecnym, że próba naciągnięcia go na piwo będzie równoznaczna z samobójstwem. Być może śmierć nastąpi przez utopienie w kadzi, stanowiłoby to jednak jedyne pocieszenie.

Wszystkie rozmowy ucichły na moment, jak należy, by po chwili rozbrzmieć jeszcze żwawiej i donośniej w jasnym wyrazie braku zainteresowania i niezwracania uwagi. Jedynie kilka spojrzeń śledziło nieznajomego, gdy ten, rozglądając się, podszedł do najbardziej zacienionego z ukrytych stołów i usiadł za nim tak, jak siadają koty, gdy próbują udawać przed myszą, że nic a nic ich ona nie obchodzi. Zaraz potem wykonał dyskretny ruch dłonią.

– Ani chybi, będzie rozróżba – jęknął gospodarz i niechętnie powłókł się w stronę przybysza.

– Piwa! – warknął na niego nieznajomy, który chyba nie potrafił inaczej. – Ale żeby to było piwo, a nie kozie szczyny z dodatkiem wody!

Gospodarz parsknął tylko, robiąc obrażoną minę, i zawołał Jenkę, dziewczkę służebną.

Potem, nieco później, pomyślał: „Właściwie sam tego chciałem... Co za lichy mnie podkuśilo, żeby wzywać Jenkę...”

Kiedy Jenka podchodziła do nieznajomego, cała sala kołysała się do rytmu jej bioder.

I cóż, że były odrobinę za szerokie, kiedy potrafiła tak nimi kołysać... Postawiła dzban piwa nieco zbyt gwałtownie, tak że odrobina bursztynowego napoju rozchlapała jej się na dłoni. Szybko zlizwała płyn jednym pociągnięciem języka i uśmiechnęła się zalotnie. Dla tego uśmiechu tysiąc okrętów nie wypłynęłyby prawdopodobnie w morze, jednak można by dłoń wysupać co nieco z sakiewki. Na nic innego zresztą nie liczyła, mrugając zalotnie. Co ją obchodziły jakies okręty.

Choć może wydawać się to zdumiewające, nieznajomy odwzajemnił jej uśmiech. Taka to była po prostu dziewczyna, że nie sposób się było do niej nie uśmiechnąć.

Widząc ten uśmiech na ponurej zwykle i zoranej bliznami twarzy przybysza, gospodarz uświadomił sobie, co uczynił, i zaczął pośpiesznie chować łatwo dostępne dla nisko latających ław dzbany i butelki.

I dobrze czynił. Bowiem kiedy Jenka, cały czas odprowadzana nie tyle życzliwym, co łakomym spojrzeniem nieznajomego, wracała na zaplecze, Ontek, stały bywalec gospody, uszczypnął ją w pulchny tyłek.

Jenka pisnęła, podskoczyła i, odwracając się gwałtownie, trzasnęła Ontka z rozmachem w pysk. Ontek roześmiał się, oddał jej, tyle że z mniejszym rozmachem i, rechocząc, przyciągnął ją do siebie. Jak zwykle w piątek. Piątki były bowiem porą Ontka.

Tyle że nieznajomy o tym nie wiedział. Nie był przecież tutejszy.

Jenka wiła się i piszcziała, a Ontek rechotał. Jego kompani też przybrali radosne miny na twarzuchny i tylko głupek Honcuś nie uśmiechał się ze swojego kątką. Do Honcusia wszystko docierało z opóźnieniem.

Nieznajomy, dla odmiany, chwycił wszystko w lot. Szkoda tylko, że nie znał lokalnych zwyczajów.

Wstał i pozornie niedbałym krokiem podszedł do stolika, przy którym Ontek szarpał się z Jenką. W całej powadze swej postury stanął nad rozrehotanym stałym klientem

i powiedział to, co w takich sytuacjach zwykli mówić prawdziwie twardzi mężczyźni:

– Nie rozlewaj waćpan piwa.

Ontek istotnie rozlewał piwo ze swego kufla na prawo i lewo, prawdę jednak rzekłszy, nie tylko jego należało za ten fakt winić. Trudno jest trzymać równocześnie piwo i wijącą się niewiastę. Nawet jeśli ta niewiasta wije się jedynie *pro forma*.

– Że co? – zdziwił się Ontek, do którego nikt nigdy w życiu nie powiedział per „waćpan”. Odwrócił się przy tym dość gwałtownie i, naturalnie, rozlał piwo.

Nieznajomemu mignęła przez moment rumiana twarz Jenki i jego spojrzenie złagodniało. Kiedy jednak skierował wzrok znów na Ontka, w jego oczach lśniła tylko stal.

– Nie rozlewaj wać piwa – powtórzył więc głosem pełnym tego rodzaju spokoju, od którego doświadczeni karczmarze zaczynają siwieć na zawołanie. Zabijaki zaś na całym świecie powstają z miejsc, a miecze, topory i noże same wskakują im do rąk.

Ontkowi nieobcy był nastrój, jaki nagle zapanował w gospodzie. Odepchnął Jenkę i wstał, by spojrzeć nieznajomemu prosto w oczy. Nie udało mu się to, bowiem choć był słusznego wzrostu, przybyszowi dorównać nie mógł. Jednak gdy wstawał, napitek w jego kuflu, którego w przeciwieństwie do Jenki nie odepchnął, zakolał się niebezpiecznie, aż kilka kropli przekroczyło radośnie krawędź naczynia i żwawo wymknęło się na wolność.

Ontek i nieznajomy przyglądali się przez chwilę w zamyśleniu piwu spływającemu po spodniach tego drugiego. Cisza narastała i przedłużała się, aż przerwał ją ze swego kątką głupi Honcuś, który, jako się rzekło, reagował z opóźnieniem:

– Dobra, Ontek, dobra! Dawaj ją, dawaj!

Adwersarze spojrzeli, nieco zdziwieni, na Honcusia. Potem popatrzyli na siebie, a jeszcze potem, ale bardzo krótko, Ontek patrzył na zbliżającą się pięść nieznajomego. Przez całkiem sporo następnych chwil mógł sobie

spoglądać, w którą tylko stronę zapragnął, ale wszędzie i tak widział jedynie gwiazdy. Wrowały.

– Przecież prosiłem waści, żebyś nie rozlewał piwa – powiedział z troską nieznajomy i zaraz obrócił się do Jenki, i uśmiechnął się do niej tym rodzajem wilczego uśmiechu, w którym można by się zakochać, gdyby się akurat nie piszczalo z przestachu.

Nieznajomy prawidłowo odczytał jej pisk i odwrócił się ku Ontkowym kompanom.

Pora już ku temu była najwyższa, bo właśnie uporali się z wstawianiem.

-- Patrzaj no, Reguś, jak to się obce w naszym grodzie szarogęsia! – wydusił z siebie ten najniższy, ale jak każda logika opowieści, najbardziej wygadany.

– Ano, Derhard, gęsia się – zgodził się z nim chętnie olbrzym o niewinnych oczach małego dziecka. Był, choć to nieproste, znacznie wyższy nawet od nieznajomego. Ten potrafił to docenić. Spojrzał spod na wpół przymkniętych oczu na Regusia i uśmiechnął się lekko.

– Jakie to niewychowane, no! – pokiwał smutno głową Derhard. – Przyjeżdża w obce strony i nie zagał miło, nie postawi piwa, nie zapyta o koloryt lokalny, tylko od razu w mordę leci lać. Ot, nie uczyla was, panie, matka godnie zachowywać się w obcych stronach! My, chcąc nie chcąc, ten trud na siebie wziąć będziemy musieli...

– Uważaj, mości bakałarzu, bo ze mnie uczeń krnąbrny i niezłe za skórę mogą zająć – ostrzegł go drwiąco nieznajomy, cofając się, na wszelki wypadek, o krok.

– Ech, niebezpieczeństwa zawodu! – westchnął Derhard, wznosząc oczy ku sufity gospody. – Niegodniśmy, ale je na swoje barki weźmiemy...

– Spróbujcie! – rzucił nieznajomy krótko, sięgając równocześnie ku mieczowi przewieszonemu poręcznie przez plecy.

Ciszę w lokalu zburzył szybki tupot nóg klientów, z różnych powodów zwlekających

z ucieczką do tej właśnie ostatniej chwili. Nieznajomy i kompani Ontka odczekali życzliwie, aż w gospodzie pozostaną tylko oni, gospodarz i głupi Honcuś, który jeszcze się wprawdzie uśmiechał szeroko, zaczął jednak dostrzegać coś niepokojącego w zasięgu wzroku.

– Ależ, panowie! – zawołał, załamując ręce gospodarz. – Zmiłujcie się, proszę, nade mną i nad... – urwał, nie było już potrzeby dokańczać zdania.

Zaczęło się.

Derhard zaatakował długim nożem o szerokim ostrzu. Okazał się zaskakująco szybki, jednak przybysz okręcił się tylko zwinnie i, wykorzystując rozpęd atakującego, pchnął go między stoliki. Nieznajomy zdawał sobie sprawę, że atak małego miał tylko odwrócić jego uwagę od olbrzyma. Odskoczył i wcale solidna maczuga uderzyła o podłogę w miejscu, w którym stał przed chwilą. Nieznajomy zawirował i odepchnięty kopniakiem Reguś zatoczył się, i upadł przewracając stół.

– Heh – parsknął Derhard spomiędzy powywracanych ław. – Proszę, proszę, zdolniacha!

– Heh – odpowiedział parsknięciem nieznajomy. – Proszę, proszę, fajtlapy!

Derhard uśmiechnął się w odpowiedzi pogardliwie. Przerzucił sztylet z ręki do ręki.

Nieznajomy zerknął na podnoszącego się niezdarnie Regusia, zarejestrował też, że Honcuś sięga po widelec, przyjmując wyraz twarzy zdumiewająco przypominający zamyślenie.

Bezimiennemu rębajle nie podobał się uśmiech kurdupła. Coś tu było zdecydowanie nie tak. Coś przegapił.

Reguś pozbierał się wreszcie z podłogi i, rycząc, rzucił się na przybysza. Ten zręcznie uchylił się przed ciosem i ciął z półobrotu. Uniknął opadającego cielska, odskakując krok w tył. Nie spuszczał wzroku z Derharda i tylko instynkt ostrzegł go, każąc mu się odwrócić.



Z cienia pod schodami skradał się ku niemu jeszcze jeden mężczyzna, z krótkim mieczem. Ktoś, kto tylko udał, że wychodzi wraz z innymi, a naprawdę ukrył się w ciemnościach, wypatrując korzystnego momentu. Widząc, że został odkryty, zaklął i przyspieszył, unosząc miecz do ciosu. Nieznajomy sparował od dołu, wyrzucając miecz napastnika wysoko w górę, i nim jego przeciwnik zdążył zareagować, opuścił jednym błyskawicznym ciosem ostrze, tnąc mężczyznę prostopadle przez twarz.

Odwrócił się natychmiast i nadbiegając od tyłu Derhard dosłownie nadział się na jego ostrze.

– Ty sukinsynu! – dobiegł nieznajomego głos Ontka. – Oni tylko chcieli pofiglować! Najwyżej by ci połamali kulasy!

Nie zastanawiając się wiele, nieznajomy ruszył ku niemu. Ontek, krzycząc, wyszedł mu naprzeciw z zakrzywioną szablą orkowej roboty. Wyczekał ataku, jak uczył go kiedyś stary Berło, co to był za młodu drużynnikiem u księcia, uchylił się zaskakująco zwinnie i skulony ciał z rozmachem. Nie mógł chybić. Ciało nieznajomego ciągle jeszcze układało się za ciosem jego miecza i samo zmierzało ku ostrzu Ontkowej szabli. A jednak ostatnia myśl Ontka, rozplatanego jednym płynnym ruchem od pachwin ku gardłu, brzmiała: „Nikt nie może być tak szybki!”

Nieznajomemu nie było dane odetchnąć z ulgą. Nie zdążył nawet uśmiechnąć się nie dbale a triumfalnie, kiedy złorzecząc, rzuciła się na niego Jenka. Cisnęła weń przy tym znalezionym na jednym z nielicznych niezdemolowanych stołów kuflem. Uchylił się, jak to on zwinnie, przed tym pociskiem, a nie chcąc zranić Jenki, chwycił ją lewą, nieuzbrojoną ręką. Ugryzła go, a kiedy zaskoczony puścił ją na moment, wykorzystwała to, by kopnąć go pod kolanem i jeszcze raz, znacznie celniej i boleśniej.

Skulił się z bólu, dowodząc tym samym, że nie nadawałby się na strażnika haremu, i w sposób niewysłowienie pchowoy nadział

się na widelec Honcusia, z którym ten zmierzał dzielnie a uparcie ku skrytemu za beczkami gospodarzowi.

Przez kilka chwil wszyscy przyglądali się konającemu nieznajomemu. Uparcie walczył o życie, jednak nikt nie przeżył jeszcze z ciałem obcym wbitym głęboko w mózg.

Kiedy już przestał się ruszać, Honcus pochylił się i wyszarpnął widelec z jego oka.

– Tak myślałem – westchnął. – Zrzucił mi muchę, co to ją znalazłem w zupie. Nie będzie zwrotu za posiłek. Tylko za moje słowo, co?

Popatrzył z nadzieją na gospodarza.

Ten wychylił się nawet zza beczek, by odpowiedzieć, nie zdążył jednak, bo drzwi gospody otworzyły się z hukiem i wpadł przez nie zziązany lokalny włodarz.

– Uff! Spóźniłem się trochę, gospodarzu! – zawołał na wejście. – Nie widzieliście tu nikogo nieznajomego? Byłem umówiony z takim jednym...

– Ehem... – bąknął gospodarz, pragnąc być w tej chwili gdzieś bardzo daleko stamtąd.

Włodarz odsapnął i wreszcie dotarł do niego bajecznie kolorowy krajobraz po masażu, w który wdepnął. Ze wszystkimi szczegółami, a to oznacza, że także z trupem nieznajomego na środku sali.

– No tak – westchnął. – Mogłem się tego spodziewać...

Nieco błędnym wzrokiem potoczył po zgromadzonych. Jenka spróbowała uśmiechnąć się nieśmiało a zalotnie.

– To kto nam teraz, wy cholerni kretyni, zabije strzygę!?! – ryknął na nią.

II

– Bo w mojej zupie była mucha – tłumaczył cierpliwie po raz setny Honcus, uśmiechając się cały czas. – I żem ją złowił na widelec. Żeby se łyżki, cożem nią jadł, nie brudzić. Bo głupi to nie jestem, co to, to nie.

Od tego durnego uśmiechu zbierało się włodarzowi na mdłości. Za dwa dni miał

nawiedzić gród z okazji wielkich łowów przed kolejną wojenką książę. Uczynni książęcy heroldzi szepnęli włodarzowi, że książę lubi przede wszystkim porządek, a nie lubi przede wszystkim cudów. Tymczasem włodarz miał u siebie nieporządek i to w dodatku z cudem.

Cudem była cholerna strzyga, która załęgała się w ruinach zamczyska na wzgórzu i – widać – bardzo jej się tam spodobało, bo ani myślała się z nich ruszać.

Chyba że nocą. Na posiłek.

Winę za zaistnienie strzygi ponosił, w pewnym stopniu, sam książę. On to bowiem, kiedy dopiero aspirował do funkcji głowy państwa, zaszlachtował poprzedniego księcia i na wszelki wypadek, by zalegalizować szlachtowanie, ożenił się z jego żoną. Czy byli ze sobą zbyt blisko spokrewnieni, czy też dosięgło ich przekleństwo włóczęgo się po zamku książęcym upiora, dość, że to, co się urodziło z książęcego związku, nie przypominało ani księcia, ani księżnej, ani w ogóle człowieka. Było niewątpliwie płci... hmmm... pięknej, jednak im więcej lat miało, tym bardziej jasne się stawało, że nie człowiekiem jest, a strzygą. Po siedemdziesiątej rozszarpanej mamce, książę zafrasowany wielce uznał, że trzeba się niewygodnej potomkini pozbyć czym prędzej, i w tajemnicy przed księżną wysłał poczwagę do lasu wraz z myśliwym, który miał problem załatwić.

Jak to jednak czasem bywa, to problem załatwił myśliwego, a potem, obrażony na cały świat, przyczłapał do ruin nad gródkiem i tam już pozostał.

Włodarzowi wydawało się jednak, że do księcia może nie trafić takie tłumaczenie. Jedyne, co mogło do niego trafić, to wykurzenie strzygi. Przynajmniej na czas jego pobytu.

Wysyłano więc do strzygi posłów z propozycjami chwilowego przekwaterowania. Posłów przyjmowała chętnie i nawet przestała schodzić do wsi po posiłki, jednak wynieść się nie zamierzała.

Włodarz wysupał więc z i tak już niemal pustej kasy grodu ostatnie grosze i wynajął za nie zawodowego dezynsektora potworów. Ten pieniądze wziął z góry, przybył i zginął.

A jego zabójca siedział teraz przed włodarzem i domagał się zwrotu półcwierci grosza za zupę, w której znalazł muchę.

- Jak tyś to zrobił? - jęknął po raz setny w pełnym zdumienia przygnębieniu włodarz. - To był największy rębajło po tej stronie gór! Nikt mu nie mógł sprostać!

Nie powinien był pytać.

Honcuś westchnął. Po raz pierwszy w życiu przyszło mu do głowy, że niektórzy wyjątkowo ciężko kojarzą.

- Bo tam była mucha - wyjaśnił cierpliwie. - I ja żem szedł ją pokazać gospodarzowi, coby...

- Czekaj, czekaj! - przerwał mu włodarz. - I nic dziwnego nie zwróciło twojej uwagi?

Wyraz skupienia pojawił się na twarzy Honcusia. Musiało trochę potrwać, nim przetrwał pytanie włodarza, i jeszcze trochę, zanim odnalazł na nie odpowiedź. W tym czasie włodarz zdążył lekko posiwieć, za każdym razem bowiem, gdy słyszał jakiś hałas za oknem, zrywał się przekonany, że to książę przyjeżdża przed czasem.

„Gdybym choć nie wysyłał tej depechy – wdychał – że wszystko załatwione...”

- Ano tak! - ucieszył się nagle Honcuś. - Było dziwne! Ja żem siem nawet zdziwił wtedy, pamiętam!

I uśmiechnął się czule do włodarza, szczęśliwy, że udało mu się go zadowolić, znajdując odpowiedź na jego pytanie.

- Tak, Honcusiu? - zmęczonym głosem spróbował go zachęcić włodarz. - Pozwól, że ci pomogę. Nie zdziwili cię ci faceci siekący się nawzajem mieczami na środku sali?

- Faceci? - Honcuś zmarszczył brwi. Pytanie o facetów było nie w porządku. Jak się rozmawia o jednym, nie powinno się nagle zmieniać tematu. Ale dziwny ten włodarz... - Faceci, włodarzu? Nie wiem... ale ta mucha!

Ona ciągle jeszcze machała skrzydłami, włodarzu! Choć tak długo siedziała w tej zupie, że powinna w niej chyba utonąć, nie? I lypała na mnie oczami, włodarzu. Dziwne, no... I ja żem wymyślił, że ona specjalnie mi wpadła do zupy i ją mi żre. I dlatego ja żem poszedł po swoje pieniądze do gospodarza, bo niby z jakiej racji on hoduje se swoje muchy na mojej zupie, co żem za nią zapłacić? I tak to sobie...

W tym momencie włodarz ocknął się ze zdumienia i zareagował.

Piętnaście minut później przestał dusić Honcusia, bo nie dość, że nieźle się tym zmęczył, to jeszcze to bydlę w ogóle duszenia nie zauważyło.

– Honcuś, ty bydlaku! Ty mnie zabijesz! – sapnął, z trudem łapiąc oddech.

Honcuś, nauczony doświadczeniem przytakiwać, gdy nie rozumie, skinął usłużnie głową i uśmiechnął się po swojemu.

Być może gdyby nie to przytaknięcie i nie ten uśmiech debila, włodarzowi nie zaświtałaby myśl tyleż rozpacзлиwa, co absurda.

A niechby nawet zaświtała! Pewnie odegnałby ją ze śmiechem, gdyby Honcuś nie spytał:

– To jak będzie z tą moją zupą, włodarzu? Bo ja tak se kombinuję, że mi się ona słuszenie należy...

– Honcuś!!! – ryknął zgnębionym i pełnym rozpacz głosem włodarz. – Ja ci osobiście za tę zupę zwrócę! I jeszcze dostaniesz ode mnie na dwadzieścia takich zup! Ale musisz najpierw coś dla mnie zrobić!

– A co takiego, włodarzu? – zapytał zaciekawiony Honcuś.

– Ty pójdziesz do zamczyska i zabijesz dla mnie strzygę! – wyszeptał włodarz, a oczy rozblęły mu przy tym diabelsko. – Boś zabił mojego zabójcę, więc to mi się chyba słuszenie od ciebie należy, nie?

Honcuś doszedł do wniosku, że jest w tym trochę racji, i skinął głową na znak zgody. Zaraz też zaczął się podnosić z krzesła.

– No to idę, co tu tak będę po próżnicy siedział, kiedy się na wieczór zbiera, a to pora na strzygę najlepszą...

Włodarz przyglądał mu się w milczeniu. Zbliżała się właśnie północ, jednak Honcuś nawet na upływ czasu reagował z opóźnieniem.

„Którękolwiek zginie, przynajmniej jednego się pozbędę!” – pomyślał i ta myśl przyniosła mu odrobinę ulgi.

Honcuś odwrócił się jeszcze ku niemu w drzwiach. Był dziwnie czerwony na twarzy.

– Strasznie dziś duszny wieczór, panie włodarzu – wyrzęził. Oczy wylażyły mu na wierzch. – Pewnie będzie padać. Myśli pan, że to dobrze na strzygę?

„Na bogów! Nawet jego ciało jest tak głupie, że reaguje z opóźnieniem!” – zorientował się włodarz.

I nagle zapragnął, by to strzyga ocalała z tego pojedynku.

Nie był jednak pewien, czy ma ona jakiegokolwiek szanse w starciu z Honcusiem.



Bycie strzygą ma swoje złe strony, z których wcale nie najbardziej bagatelną jest fakt, że wszyscy chcą cię zabić.

Bycie strzygą ma jednak także swoje dobre strony. Wśród zaś nich i tę, że zwykle to ty ich wszystkich zabijasz.

Tyle że wtedy ludzie zaczynają się szwendać możliwie jak najdalej od ciebie i musisz się nieźle nałazić, żeby mieć co do gęby włożyć.

Strzygi wyposażone są w mózg gwarantujący szybkość reakcji. To niezbędne, jeśli chce się być długo żyjącą strzygą. Jednak owa szybkość reakcji bierze się głównie stąd, że mózg strzygi nie przywiązuje większego znaczenia do głębszych refleksji. Właściwie tylko by one przeszkadzały. Dla strzygi cały świat dzieli się na to, co można zjeść, i na to, czego zjeść się nie da. Wśród zaś części jadalnej

świata strzyga wyróżnia to, co jeszcze przed nią ucieka, oraz to, co jest już pożerane.

Do tego jakże klarownego obrazu rzeczywistości strzyga musiała, nieboraczka, dodać zupełnie nowy element.

Coś, co jest potencjalnie jadalne, ale lezie na nią jakby nigdy nic.

Dlatego, choć zwykle bezrefleksyjna, tym razem zawahała się przed atakiem.

Ten zaś przebłysk zdumionej własnym zaistnieniem inteligencji okazał się dla niej zgubny.

Honcuś bowiem – on to wszakże był – zdając sobie sprawę z faktu, iż przyszło mu wyruszyć na szczególnie niebezpieczne polowanie, skradał się na wzgórze zamkowe wyjątkowo czujny. Nerwy miał napięte jak postronki, a wszystkie zmysły wyostrzone do granic możliwości.

Co oznaczało tyle, że dojrzał strzygę na ułamek sekundy przed tym, nim na nią nastąpił.

– Ha! – zakrzyknął i przywalił jej w łeb zabraną z gospody maczugą.

Oszołomienie wywołane tym ciosem wyгнаł z łba strzygi niebezpieczne zadumienie. Mogła teraz przystąpić do właściwych sobie strzyżych reakcji. Skoczyła na Honcusia i dopadła go, choć po drodze oberwała jeszcze dwa razy maczugą. Potem jednak dosięgła napastnika i zaczęła szarpać go pazurami i kłosać. Nie wychodziło jej to równie znakomicie, jak we wszystkich dotychczasowych przypadkach, była bowiem nieco osłabiona po trzech Honcusiowych ciosach. Ciągle jeszcze miała jednak jakieś szanse.

Tak więc strzyga gryzła i drapała, Honcuś zaś walił.

Ktoreś z nich musiało w końcu ustąpić.

Tej nocy nikt nie spał w miasteczku. Potworne, nieludzkie ryki i wycia niosły się ze wzgórza ku dolinie i nie było takiej osoby, która nie zdawała sobie sprawy z rozgrywanej się właśnie okrutnej walki. Może tylko Jenka i Gotrek byli zbyt zajęci sobą nawza-

jem, by zauważyć cokolwiek więcej. Normalnie Gotrek miał prawo do Jenki tylko w środy, skoro jednak piątki zwołniały się tak niespodziewanie, korzystał z okazji, a czynił to z takim zapalem, że pokrzykiwania Jenki i jego radosne posapywanie niemal zagłuszyły ryki ze wzgórza. I przynajmniej najbliżsi sąsiedzi Jenki woleli z przyjemnością powstuchiwać się w odgłosy u sąsiadów niż makabryczne echa walki pod ruinami zamczyska. Wieść o szalonej nocy u Jenki rozeszła się po mieście lotem błyskawicy i już po chwili stało pod jej oknami całe miasto. Ludzie nie mieli bowiem w Zaskrzypiu wielu rozrywek, nie licząc strzygi i mordobić w gospodzie. A te zdążyły im już spowszednieć.

– To jest przynajmniej kontruk... konkrukt... No takie, życie dające – tłumaczył przybyłemu ukrócić nieład włodarzowi lokalny szuler i poeta, przezwany od najchętniej używanej karty As Kier.

– Już ja ci dam rzyci! – warknął na niego włodarz, ale słysząc nagłe chichoty dobiegające z tłumu, zorientował się, że odrobinę się zagalopował. – W łeb ci dam! Ech... No dobra, mów, co tam widzisz!

As Kier siedział bowiem na drzewie i relacjonował wszystkim zgromadzonemu na ulicy widoki, do których jedynie ścieżka dźwiękowa była powszechnie dostępna.

– No więc, wszystko kręci się wokół kwestii życia... – relacjonował poeta, aż panie kraśniały, a panowie uśmiechali się szerzej i szerzej. – To wam powiem, mili zebrani, że Gotrkowi zdałoby się rzec: „waś młóćisz jak cepem”. Wiele przed nim nauki, ale i wiele w nim zapału. Ale Jenka! O, Jenka...

Tu zamilkł na chwilę trwającą akurat tyle, co trzy ciężkie westchnienia człowieka świadomego, że posiada wszelkie zdolności, by znaleźć się w kalendarzu najniezwyklejszej w Zaskrzypiu dziewczyny, a mimo to nie dostępującym tego szczęścia.

Gdy powrócił do relacji, opowiadał jak w natchnieniu, rozpalając wyobraźnię słu-

chaczy metaforami sztywnych a długich dyszli, gorzących snopów siana, półkul gorących a twardych niczym bochny prosto z pieca, pierza wystrzeliwującego z rozprutych pierzyn i sitowia kołysanego wiatrem, ale i chłostanego wichurą. Mówił o ulewach spadających na chętne doliny, o owcach czekających gospodarskiej ręki, o stadach koni przebiegających żwawo między wzgórzami niczym wzburzone rzeki, o strumieniach spadających z rozpędem w doliny i osobliwie często o korzeniach drzew wgrzyzających się w bujne trawy. Powoływał się na boskie pioruny figlujące między chmurami i grzmocące napiętą od oczekiwania skórę ziemi. A gdy brakowało mu konceptu, wykrzykiwał gorączkowo, jakby sam był między Jenką a Gorkiem, refreny dup najśodszych, cyców najpożądańszych i kutasów mocarnych, choć nie w porę.

A kiedy jego ochrypiły tak od emocji, jak od przemęczenia głos oznajmił: „Skończyli!” – ludzie zorientowali się, że już świta.

Włodarz zaś odkrył, że nie tylko Jenka i Gotrek umilkli.

– Hej, ludzie! – zawołał. – Strzyga! Na demony, zapomniałszy o strzydze! Lećcież tam, zobaczcie, czy z Honcusia co zostało!

Kilku jego podwładnych pobiegło bez przesadnego entuzjazmu. Rychło wrócili z okrutnie poszarpanym Honcusiem, w którym niewiele już krwi zostało. U jego rozplatanego gardła wisiały bitki z strzygi.

Włodarz pochylił się nad bohaterem. Ran, jakie odniósł, nikt nie mógł przeżyć.

Oddychał.

– Medyka! – zawołał, wstając. – Rychło mi tu medyka! Ratujcież tego nieszczęsnego idiotę, póki się jeszcze nie zorientował, że nie żyje! A pospieszcie się! Książęce mości będą chciały poznać tego, który uratował miasto!

Raz jeszcze popatrzył na Honcusia. Uparcie oddychał.

„Co za głupie ciało!” – pomyślał. – „Nie wie jeszcze, że nie żyje... No, ale jest szansa,

że się nie dowie, jak je medyk szybko pozszywa... I wtedy Honcuś stanie przed Ich Książęcymi Mościami...?”

A ponieważ włodarz bardzo Ich Książęcych Mości nie lubił, ogromnie go wizja tego spotkania cieszyła. ■



DRABBLE KONKURS

Podobały się Wam nasze drabble? Jeżeli tak, to zapraszamy do wzięcia udziału w konkursie na najlepszy tekst o długości stu słów! Termin nadsyłania tekstów upływa 30 grudnia 2015 r. Dla zwycięzców przewidujemy nagrody rzeczowe oraz publikację tekstów w najnowszym numerze magazynu *Smokopolitan*.

Konkurs jest współorganizowany przez redakcję magazynu *Smokopolitan* oraz portal Literka.info.

REGULAMIN KONKURSU

1. Temat konkursu to **OPTYMISTYCZNE OBLICZA FANTASTYKI**
2. Drabble to bardzo krótki utwór literacki, który posiada równo sto słów, nie licząc tytułu.
3. Przyjmowane będą tylko niepublikowane wcześniej drabble. Każdy autor ma prawo do wysłania tylko jednego tekstu.
4. Konkurs ma charakter otwarty.
5. Teksty prosimy przysyłać na adres konkurs@literka.info w formacie RTF (Rich Text Format) do 30 grudnia 2015 r. włącznie.
6. Obrady jury odbędą się w dwóch turach. Prace pozytywnie zaopiniowane przez redakcję magazynu *Smokopolitan* oraz portalu Literka.info przejdą do drugiego etapu, podczas którego jury finałowe w składzie: Marcin Jamiołkowski, Elin Kamińska, Alicja Tempłowicz wyłoni trzech zwycięzców. Lista prac finałowych oraz zwycięskich zostanie opublikowana na portalu Literka.info.
7. Nagrodzone prace zostaną opublikowane w lutowym numerze *Smokopolitana*, a ich autorzy otrzymają nagrody rzeczowe.
8. W przypadku bardzo wysokiego poziomu nadesłanych prac, redakcja portalu Literka.info oraz redakcja magazynu *Smokopolitan* zastrzegają sobie prawo do przyznania wyróżnień – wybrane teksty zostaną opublikowane na portalu oraz w magazynie.

OPOWIEŚCI NYAÑI

GRA KOMPUTEROWA Z KOTAMI W ŚMIESZNYCH STROJACH
WWW.WSPIERAM.TO/RPGKOTKI



KONIEC ZBIÓRKI = 10 GRUDNIA



hanstercube